NOWOŚĆ!
Aleksander Wojciechowski
O sztuce użytkowej i użytecznej
Stron 180. CENA 18/-
Na zamówienie wysyła
KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS"
12, PRAED MEWS, LONDON, W. 2

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

ROK IX. Nr 40 (432)

NIEDZIELA, 2 PAŹDZIERNIKA 1955 R.

JEŚLI LEKI, TO Z APTEKI
GRABOWSKIEGO
175, DRAYCOTT AVENUE,
LONDON, S.W.3, ENGLAND

PUNKTY WIDZENIA

ZDARZENIA W CHINACH

W Genewie, w jakimś pałacu o lustrzanych podłogach i uroczystym, dziewiętnastowiecznym wnętrzu znajduje się okrągły stół. Mniej więcej co drugi dzień w godzinach południowych lokaje otwierają podwoje sali, do której wchodzą Amerykanin i Chińczyk w otoczeniu sztabu urzędników i tłumaczy. Obie strony kłaniają się sobie uroczyście, następnie siadają przy okrągłym stole, przy którym trwają kilkanaście minut, aby się następnie rozejść na pełne dwa dni.

Tak dzieje się mniej więcej od dwóch miesięcy, a sprawy nie posuwają się naprzód. Są to pertraktacje pomiędzy przedstawicielem rządu Stanów Zjednoczonych a przedstawicielem rządu komunistycznego w Chinach. Od bardzo dawna cały blok sowiecki z Rosją na czele czyni starania, aby Stany Zjednoczone uznały komunistyczny reżym w Chinach, uznając go za rząd prawowity. Stany Zjednoczone opierają się uznaniu. Pod naciskiem jednak komunistycznym zgodzono się na rozmowy, które by omówiły różne zagadnienia drobniejsze. Rozmowy takie rozpoczęły się przed dwoma mniej więcej miesiącami w Genewie i trwają dotąd w trybie i ze skutkiem opisanym powyżej.

Pertraktacje utykają na pierwszym od razu punkcie obrad: na sprawie wypuszczenia z więzień chińskich obywateli Stanów Zjednoczonych, którzy od wielu lat bez żadnej przyczyny przetrzymywani są tam w najcięższych okolicznościach. Przedstawiciel reżymu chińskiego twierdzi z cierpliwą wytrwałością, iż wyszukanie tych ludzi będzie wielką trudnością, wymagającą długiego czasu, i namawia do przejścia do punktów dalszych. Przedstawiciel Stanów Zjednoczonych z równym uporem, ale bez równej cierpliwości, twierdzi, iż nie może podjąć dalszych tematów, dopóki ten wstępny nie będzie załatwiony.

Obraz tych dwóch ludzi, przedstawicieli: potężnego państwa wolnego i potężnego imperium niewolniczego, zasiadających od dwóch miesięcy na zupełnie jałowe narady — może, zaiste, powstać jedynie w naszej „postępowej" epoce. Również i przedmiot nierozwiązalnego zdawałoby się sporu jest symptomem, który w tak jaskrawej formie pojawił się dopiero w epoce największego rozwoju technicznego cywilizacji ludzkiej. Tysiące ludzi łapanych jest bezprawnie, wrzucanych do więzień, poddawanych torturom, męczonych w najokrutniejszy sposób, a świat na to patrzy bez żadnej właściwej reakcji.

Wśród przetrzymywanych w Chinach obywateli Stanów Zjednoczonych jest pewna ilość księży i pastorów. Ale sprawa obywateli amerykańskich musi być uważana jedynie za symbol tych wielotysięcznych, czy wielosettysięcznych rzesz obywateli różnych krajów świata i tych wielomilionowych rzesz Chińczyków, którzy torturowani i uśmiercani są w komunistycznych Chinach. Duchowni zaś amerykańscy reprezentują setki i tysiące tych księży, również i chińskich, którzy od osmiu lat doznają straszliwych prześladowań ze strony krwawego reżymu komunistycznego.

Komunizm liczy na krótkowzroczność i daltonizm świata cywilizowanego. W chwili obecnej usiłuje wobec tego świata stworzyć wrażenie, iż w obrębie bloku komunistycznego zaszły zmiany w stosunku do religii. Czynione są nawet demonstracyjne gesty, które te twierdzenia mają uprawdopodobnić. Ale ta propaganda kierowana jest w stronę zachodnią. Równocześnie zaś, na Dalekim Wschodzie, na wielkich przestrzeniach Azji trwają dzikie prześladowania religii w jej przedstawicielach misyjnych, jak również i wobec kleru i wiernych miejscowych.

Od ośmiu lat różne wiarogodne źródła podają co roku statystyki tych prześladowań w Azji. Z roku na rok podawana liczba aresztowań i egzekucji wzrasta. Cyfry sięgają setek tysięcy ludzi. Z książek, które się ukazały na ten temat w głównych językach świata można już utworzyć sporą bibliotekę, a każda książka podaje szczegóły coraz straszniejszych prześladowań. Ostatnio obiegła świat w licznych wydaniach książka amerykańskiego misjonarza katolickiego, ojca Roberta W. Greena, M.M., pt. „Kalwaria w Chinach", opisująca okrucieństwa komunistów chińskich wobec religii chrześcijańskich, przede wszystkim wobec katolicyzmu.

Od czasu do czasu jakimś zbiegiem okoliczności ten czy ów męczennik zdoła się wydostać z chińskiej niewoli. W połowie września na łamach prasy światowej pojawiły się fotografie wypuszczonego przez komunistów chińskich misyjnego biskupa Alfonsa Ferroni, Włocha z pochodzenia, który znajdował się w kaźniach chińskich od roku 1951, zamknięty w osobnej celi, a przez trzy miesiące tego czasu przykuty łańcuchem do ściany. W chwili wypuszczenia był biskup Ferroni żyjącym trupem, bez świadomości tego, co się wokół niego dzieje. Powtarzał mechanicznie kilka słów: „Nie uda wam się zmienić moich myśli. Nie uda wam się zmienić moich przekonań". Widocznie tymi zdaniami tragiczna ofiara terroru broniła się przeciw tzw. „przesłuchiwaniom" i namowom przejścia na komunizm. Powtórzył jeszcze kilka razy słowa: „światło" i „megafony", narzędzia tortur w celi, następnie stracił zupełnie przytomność i został odwieziony do szpitala. Oto jeszcze jedna, jedna z setek tysięcy, ofiara „postępu" i „humanizmu" komunistycznego.

Próbują głupi obrońcy komunizmu na Zachodzie dowodzić, że tak było dawniej, w pierwszych latach, że teraz rzeczy się zmieniają. Nieprawda! Terror trwa w pełnym nasileniu. W dniu 26 września prasa angielska podała następującą wiadomość:

> **„Chińczycy aresztowali 23 księży. Nowe prześladowanie czerwonych.** Hongkong, Niedziela. — Dwudziestu trzech chińskich rzymsko-katolickich księży oraz 300 wybitnych świeckich zostało aresztowanych w czasie nowego prześladowania Kościoła.
>
> Powstała tutaj obawa, że tysiące chińskich katolików może zostać zabitych a wiele więcej uwięzionych, i że prześladowanie może przynieść w rezultacie całkowite zniszczenie Kościoła w komunistycznych Chinach."

Wiadomość ta, łącznie z wielu poprzednimi w ostatnich tygodniach, oznacza, iż na wielkich przestrzeniach Azji rozpoczęto nową fazę prześladowań religijnych, mających na celu zupełne wykrwawienie chrześcijaństwa na terenach chińskich.

W prasie „katolików reżymowych" w Polsce nie ma na ten temat żadnych wzmianek. Jest natomiast wiele artykułów na temat przyjaznych uczuć komunizmu wobec religii. Twierdzenia te obliczane są i na wewnętrzny użytek, przede wszystkim jednak fabrykowane są na eksport. I to w obydwu kierunkach.

Eksportowane są do niektórych krajów Azji, gdzie katolicyzm zapuścił głęboko korzenie, a skąd katolicy pod wpływem wieści o okrucieństwach komunistów — uciekają masowo, narażając się na ciężkie warunki emigracji. Z Polski wyjeżdżała nawet niedawno osobna „delegacja katolików społecznie postępowych", aby namawiać katolików wietnamskich do pozostawania na miejscu i podporządkowania się komunistom.

Kłamstwa o złagodzonym kursie komunizmu wobec religii eksportowane są również z central „katolików reżymowych" na Zachód. Artykuły te i wiadomości mają stwarzać w krajach wolnego świata łagodniejsze nastroje wobec komunizmu i polityki sowieckiej i torować jej drogę do przenikania na tereny, na których znana jest dotąd jako wyraz krwawych prześladowań religii.

Na tle sytuacji w Chinach kłamstwa te występują w jeszcze jaskrawszej ohydzie. Komunizm zbyt jednak przeholował w lekceważeniu Zachodu. Któż — najbardziej nawet zamroczony polityką uśmiechów — nie będzie widział, że taktykę komunistyczną trzeba brać jako całość przestrzenną? Kogóż przekonają naiwne twierdzenia o liberalizmie wobec religii, gdy równocześnie wielki obszar komunistyczny, tyle tylko że oddalony od centrów Zachodu, prowadzi dzikie prześladowania dążące do całkowitego zabicia religii w jej wyznawcach?

Delegat komunistycznego reżymu Chin na parkietowej posadzce sali konferencyjnej w Genewie kłania się uroczyście, uśmiecha i tłumaczy, że czerwone Chiny chętnie wydadzą aresztowanych, ale kraj jest wielki i sprawa wyszukania zajmie wiele czasu...

J. K.

FELIKS FRANKOWSKI

SYNGMAN RHEE

BOJOWNIK O WOLNOŚĆ KOREI

W naukach politycznych i społecznych góruje od dłuższego czasu tendencja do przywiązywania większego znaczenia do tzw. procesów masowych, niż do działalności jednostek kierowniczych. Tendencje te mają niewątpliwie swe usprawiedliwienie, jednak w rzeczywistości każdy przejaw życia gromadnego łączy się zazwyczaj z imieniem człowieka-przywódcy, odgrywającego w danym momencie największą rolę. Jeżeli nawet przywódca nie jest władny sam, swą wolą, kierować życiem mas, to jednak w jego działaniach koncentrują się i symbolizują prądy nurtujące w społeczności; narody tak często żyją i uświadamiają sobie swe istnienie, w swoich wielkich ludziach! Potwierdzają to doświadczenia współczesnej nam ery neo-dyktatorskiej. Toteż duchowa postać przywódców będzie zawsze interesującym i ważkim przedmiotem studiów i komentarzy. Praca biografów, w szczególności jeżeli chodzi o mężów stanu żyjących i nadal aktywnych, jest niełatwa. Działalność życiowa człowieka jest rzeczą tak dostojną, że nie wolno lekkomyślnie jej roztrząsać, zauważa trafnie Robert T. Oliver w słowie wstępnym do biografii Syngmana Rhee, prezydenta Korei. Jedyną drogą właściwą — mówi dalej biograf koreańskiego męża stanu — jest starać się podać ścisłe fakty, dać prawdziwy przegląd działalności człowieka, o którym się pisze, a fakty te już powinny same mówić za siebie i stanowić podstawę sądów i ocen.

„Syngman Rhee the man behind the myth" jest książką niezmiernie interesującą. Autor jej R. T. Oliver jest długoletnim badaczem zagadnień koreańskich, spędził szereg lat w bliskim kontakcie z wybitnymi Koreańczykami, a przede wszystkim z prezydentem Syngmanem Rhee. Jest on autorem wielu prac o Korei, m. in. wydał w 1944 roku cenne studium pt. „Zapomniany naród". Omawiana biografia niewątpliwie nie została napisana specjalnie dla polskich czytelników, lecz nikt lepiej niż Polacy, nie mógłby zrozumieć, odczuć i ocenić tego, co znajdujemy na stronicach tej książki. Jest to bowiem opis walki o prawo do istnienia, walki o wolność uciśnionego narodu, jest to biografia bojownika o postęp i dobrobyt, dla swego kraju. Nikt nie będzie czytał z większym zrozumieniem i sympatią, niż Polacy, o perypetiach życia człowieka, dla którego, według świadectwa bezstronnych obserwatorów jego działalności, jedynym i wyłącznym celem była niepodległość ojczyzny i szczęście współrodaków, człowieka, który był więziony, torturowany, który spędził na wygnaniu 40 lat, i ostatecznie w 73-cim roku życia został powołany do steru nawą państwową w okresie, gdy cała przyszłość narodu zależała od jego energii i wytrwałości, które ponownie musiały być rzucone na szalę ważących się losów walki.

NOWY CZŁOWIEK AZJI

Syngman Rhee stał się w ciągu swego życia uosobieniem nowego typu człowieka w środowisku azjatyckim; jego oblicze duchowe, określa R. T. Oliver, jako wyraz integracji Wschodu i Zachodu, jako wynik i połączenie dwóch cywilizacji i dwóch przeszłości w historycznym rozwoju. Jest on gorącym patriotą, kochającym swój kraj i jego przeszłość, któremu jednak nie jest już obce nic, co wyraża osiągnięcia przodującej od wieków w cywilizacji rasy białej, co czerpie swe soki w wielkim skarbcu ideologii humanizmu ogólno-ludzkiego, w oparciu o moralność chrześcijańską. Syngman Rhee jest bowiem wgłoboko wierzącym chrześcijaninem, dla którego zasady religijne nierozerwalnie się łączą z całokształtem działalności życiowej. Tylko chrześcijaństwo naucza o altruizmie, o miłości bliźniego, daje całkowity światopogląd. Syngman Rhee czerpał w wierze przekonanie, że jego życie, jakkolwiek pełne trudności, jest cząstką planu Bożego dla ludzkości. Uważał więc siebie za narzędzie woli Bożej i to dawało mu ukojenie i pokój ducha w okresach zawodów i niepowodzeń. W czasie przebywania w więzieniu przyczynił się wybitnie do przyjęcia chrześcijaństwa przez 40 współtowarzyszy niedoli.

Do chrześcijaństwa Syngman Rhee przeszedł daleką drogę. Opisy z dziecinnych jego lat wprowadzają nas do poetycznego świata odwiecznych legend, w którym trwało życie koreańskie przez wiele wieków. Życie to płynęło w godnym, uśmiechniętym i zrezygnowanym letargu. Pokolenia za pokoleniami żyły w ubóstwie, bez większych pragnień i wysiłków, znajdując usprawiedliwienie bezwładu w nirwanie Buddyzmu, a zaspokojenie skłonnej do spekulacji umysłowości w spełnianiu niezliczonych praktyk formalizmu Konfuncjusza. Było to prawdziwe królestwo pustelników. Syngman Rhee był jedynym potomkiem zubożałej rodziny, wywodzącej się od rodu królewskiego, książąt dynastii Ji Yang Yung. Ojciec jego należał do najwyższej klasy społecznej — uczonych („Yanklan"). Tracąc resztki rodowej fortuny, Syngman spędzał życie na wzniosłych i szlachetnych rozmowach w gronie godnych przyjaciół.

TRUDNA DROGA MŁODOŚCI

W dzieciństwie nosił imię Yongi (oznacza to hieratycznego Dragona-Smoka), potem nazywano go Yi Senagman, lub Senagman Lee. Dopiero od 30 roku życia znany już jest niezmiennie jako Syngman Rhee. Gdy Rhee był dzieckiem, w Korei, choć istniała klasa „uczonych", szkół żadnych nie było. Dzieci kształcone były przez rodziców, lub przez prywatnych nauczycieli. Tak właśnie uczył się Rhee aż do wieku młodzieńczego, kiedy to obudziła się w nim nieprzeparta chęć do nauki w szerszym zakresie. Początkowo w tajemnicy przed ojcem, zaczął uczęszczać do świeżo otwartej przez misjonarzy amerykańskich szkoły „Pai Jai". Obiecywał sobie, że będzie zdobywał od obcych tylko naukę, lecz że pozostanie wierny religii swych przodków. Losy zrządziły inaczej. Nauka w szkole „Pai Jai" i kontakt z Amerykanami wywarły decydujący wpływ na formację umysłową i duchową młodego Koreańczyka. Był widocznie predystynowany do tego, by stać się rzecznikiem rewolucji duchowej swego narodu, rzecznikiem wprowadzenia do swego kraju myśli cywilizacyjnej rasy białej, a przede wszystkim myśli politycznej demokracji amerykańskiej. Gdy kończy studia w „Pai Jai", jest już zdecydowanym bojownikiem o demokrację, o reformy, które zacofaną i słabą Koreę winny wprowadzić do grona wolnych państw nowoczesnych. Wie już, jaki cel będzie mu przyświecał w życiu. W roku 1895 Syngman Rhee ma lat 18; ojczyzna jego wchodzi w okres wstrząsających wydarzeń. W wojnie z Chinami Japończycy okupują Koreę. Uznając formalnie suwerenność królestwa koreańskiego, Japończycy faktycznie rządzą i gospodarzą się w nim jak w kraju podbitym. Wicehrabia Miura organizuje rewolucję pałacową, w której zostaje zamordowana energiczna i inteligentna królowa Min. Król staje się marionetką w rękach najeźdźców. Syngman Rhee rozpoczyna akcję w organizacji „Klubu Niepodległość". Liberałowie koreańscy pragną obudzić masy do świadomego życia politycznego. Działają oni w oparciu duchowym a nieraz i politycznym o organizacje misyjne i placówki państw demokratycznych, przede wszystkim amerykańskie. Już wówczas dwa mocarstwa sąsiednie — Japonia i Rosja współzawodniczą o opanowanie Korei. Chroniącego się od przemocy japońskiej króla wyprowadzają z pałacu w nocy, w szatach niewieścich, chargé d'affairs rosyjski Wacher i Amerykanin dr Allen. Król korzysta przez dłuższy czas z azylu w legacji rosyjskiej. Tym niemniej w pertraktacjach tajnych pomiędzy Rosjanami i Japończykami wysuwa się już myśl podziału Korei według granicy 38 równoleżnika. Seul jest stale widownią ruchów rewolucyjnych i antyjapońskich. W 1897 król ogłasza się cesarzem. Jednocześnie wrzenie rewolucyjne rozwija się. Rząd złożony z czynników zacofanych i nie zdających sobie sprawy z sytuacji stosuje ostre represje, prześladuje działaczy „Klubu Niepodległości". Rhee bierze udział w masowych wiecach, wybija się na czoło ruchu postępowego, jako zdolny agitator i przywódca mas. Musi się niejednokrotnie chronić w swej dawnej szkole „Pai Jai". Wkrótce zostaje uwięziony. Jest w okrutny sposób torturowany i wbrew wszelkiej sprawiedliwości skazany na dożywotnie więzienie. W więzieniu spędza 6½ lat, do 1904 roku. Ten okres więzienia, w okropnych warunkach, jest czasem pełnego duchowego dojrzewania. Rhee staje się chrześcijaninem i pisze swe dzieło o „Duchu niepodległości".

Po zwycięstwie nad Rosją Japonia ustanawia definitywnie w 1905 roku swój protektorat nad znękaną Koreą, którą ostatecznie zaanektuje w 1910 roku. Rhee nie może już działać w ojczyźnie; opuszcza Koreę i udaje się do Stanów Zjednoczonych. Z krótką tylko przerwą, przez 40 lat jest poza krajem.

Nie zaniedbując akcji politycznej w łączności z liczną i rozrzuconą po całym świecie emigracją koreańską, Syngman Rhee studiuje na uniwersytetach amerykańskich historię, socjologię, historię rozwoju instytucji demokracji amerykańskiej. Pracuje na uniwersytetach George Washington, Harward i Princeton; jest pierwszym Koreańczykiem, który uzyskał doktorat filozofii (w Princeton). Nie ustaje przy tym ani na chwilę w zabiegach o przywrócenie niepodległości Korei. Jako delegat emigracji koreańskiej, przed zebraniem się Konferencji Pokojowej w Portsmouth, wraz z Rev-Yoon'em redaguje dla prezydenta Teodora Roosevelta memoriał, żądający wysunięcia sprawy Korei na konferencji pokojowej. Dzięki poparciu Tafta, młodzi Koreańczycy uzyskują 5 lipca 1905 roku audiencję u prezydenta w jego rezydencji prywatnej Oyster Bay... Prezydent przyjął delegatów uprzejmie, rzucił okiem na memoriał, lecz oświadczył, że nie będzie mógł go przyjąć, ani wnieść sprawy na konferencję, o ile dokument ten nie będzie doręczony przez istniejącą jeszcze oficjalnie i uznawaną Legację Koreańską. Poseł Kim odmówił dokonania takiej „démarche", zasłaniając się brakiem instrukcji od cesarza, który oczywiście dać mu jej nie mógł, będąc pod ścisłą i całkowitą kontrolą Japończyków. Również spełzły na niczym usiłowania samego cesarza, by zainteresować świat losem Korei. W 1907 roku wysłał on tajną misję do Hagi, w nadziei, że „Światowy Trybunał Pokoju" zajmie się losem uciśnionego kraju. Misja ta jednak nic wskórać nie mogła. Protektorat japoński, potwierdzony w układzie w Portsmouth, uznany został przez mocarstwa europejskie; aneksja dokonana w 1910 r. była już tylko podkreśleniem sytuacji faktycznej. Jak to określał Rhee, stare państwo koreańskie przestało istnieć. Istniało tylko w sercach narodu, który nie chciał umrzeć. Rhee działa więc dalej. W 1908 roku zaprzyjaźnia się z rodziną Woodrow Wilsona. W 1910 roku spędza, jako instruktor YMCA, parę miesięcy w Korei, lecz zaraz musi pośpiesznie ojczyznę znów opuścić. Wraca do pracy politycznej w Ameryce, w Chinach i w Europie. Wybucha pierwsza wojna światowa. Proklamacja 13 punktów Wilsona, uznanie zasady samostanowienia narodów budzą nowe nadzieje wśród patriotów koreańskich, lecz Japonia jest w obozie zwycięskich aliantów, a zatem idealistyczne zasady nie będą dotyczyły Korei.

WALKA O WOLNOŚĆ

Rhee bierze udział w zebraniach „małych narodów" w Nowym Yorku, zapoznaje się z Czechami: Masarykiem i Beneszem. Organizuje „Ligę Przyjaciół Korei", pisze, przemawia, działa. W roku 1919, wbrew opinii Rhee, wybucha w Seulu pokojowa „moralna" rewolucja „Mansei" („Niech żyje Korea!"). Przedstawiciele ruchu liberalnego i niepodległościowego redagują manifest, który ogłaszają 10 marca, po czym oddają się uroczyście w ręce policji japońskiej. Okupanci reagują gwałtownie: więżą, mordują, prześladują chrześcijan, palą całe wioski, burzą 30 kościołów. Jednak ruch podziemny działa nadal w Korei, stwarza tajny rząd i wybiera przebywającego w Stanach Zjednoczonych Syngmana Rhee prezydentem Korei. Godność tę piastuje odtąd, w różnych formach, do dnia dzisiejszego. Rhee jest prezydentem z ogromną odpowiedzialnością, lecz bez władzy i środków. Organizuje „Koreańską Komisję", która przez długie lata będzie funkcjonowała jako Centrala Polityczna na obczyźnie.

Po zagarnięciu przez Japonię Mandżurii, Syngman Rhee jedzie do Genewy, do Ligi Narodów. Odwiedza różne stolice europejskie, udaje się nawet do Moskwy, lecz musi Rosję, zaraz po przybyciu, opuścić. Był on jednak raczej stanowczym zwolennikiem skoncentrowania akcji politycznej na terenie Stanów Zjednoczonych. Nie brał udziału w akcji terrorystycznej. Powstrzymywał też porywy rządu rewolucyjnego koreańskiego w Chinach, oraz generałów, którzy wciąż szukali okazji do działania zbrojnego. Uważał, że należy oszczędzać krwi patriotów koreańskich i powstrzymywać się od wystąpień zbrojnych, póki nie będzie warunków politycznych umożliwiających skuteczne działanie. Pozycja

SYNGMAN RHEE
Karykatura Szomańskiego

Rhee łatwą nie była nie tylko wobec obcych, lecz i wobec swych współrodaków na emigracji. Kim Koo, premier rządu koreańskiego oraz dowódcy „Guerilli" Kim Yak San i generał Le Chung Chun, dowódca oddziałów koreańskich, które walczyły przy boku armii chińskiej przeciw Japończykom w Mandżurii, parli wciąż do walki czynnej, a terroryści koreańscy wciąż przygotowywali zamachy, zabijając dygnitarzy japońskich (m. in. hrabiego Ito), co powodowało represje ze strony Japonii i coraz większy ucisk narodu koreańskiego.. Rhee stara się zjednoczyć ruchy wyzwoleńcze, skonsolidować i skoordynować działalność organizacyj emigracyjnych, lecz akcja ta napotyka na ogromne trudności, wobec gwałtownych różnic zdań pomiędzy grupami politycznymi i niezgody pośród przywódców.

Po „Pearl Harbour", Syngman Ree zgłasza w Departamencie Stanu gotowość walki czynnej Koreańczyków przy boku Amerykanów, przeciwko ciemiężycielom japońskim. Żąda natychmiastowego uznania niepodległości Korei. — O dziwo, zabiegi jego znajdują słaby oddźwięk w sferach rządzących amerykańskich. Senator Gilette oświadcza mu wprost, że Departament Stanu obawia się „obrazić" Japończyków. Na co Rhee pyta naiwnie: „Jak możecie prowadzić wojnę z Japonią, jeżeli obawiacie się ją obrazić?" Z biegiem czasu Rhee przekonał się, że chodziło już wtedy nie o „obrażenie" Japończyków, lecz innego potężnego mocarstwa, dla którego Korea nie była obojętna. Gdy przestano się liczyć w Waszyngtonie z Japonią, zaczęto się liczyć z Rosją. Polityka wielkich mocarstw szła utartą koleją.

Nie zrażając się przeciwnościami, Rhee zabiega usilnie o stworzenie zaczątków ochotniczej siły zbrojnej koreańskiej i zorganizowanie dywersji w porozumieniu z władzami wojskowymi amerykańskimi. Dopiero na konferencji w Kairze, 12 lipca 1943 roku, na wniosek marszałka Chiang Kai Sheka, Roosevelt i Churchill uznają postulaty Koreańczyków. Ogłoszona zostaje ostrożnie zredagowana deklaracja o uznaniu prawa Korei do wolności i niepodległości „w odpowiednim czasie". Te ostatnie słowa nie pozostawiały wiele iluzji co do istotnego stanowiska mocarstw.

Z rozwojem wypadków na Dalekim Wschodzie zaczyna się wyłaniać nowe niebezpieczeństwo: zaborczość rosyjskiego i chińskiego komunizmu. Rosja nie zapomniała o swych dawnych planach co do Korei. W Jałcie uznano zainteresowania rosyjskie w Korei, potwierdzono to później w Londynie. W parę dni po wejściu Związku Sowieckiego do wojny przeciw Japonii, wojska sowieckie przekraczają Jalu i zajmują północną Korę do 38 równoleżnika. Amerykanie gen. Hodge'a zajmują pośpiesznie południową Koreę. Waszyngton i dowództwo amerykańskie wierzą w możliwość przyjaznej współpracy z Sowietami.

Przezwyciężając wszelkie trudności, Rhee wraca w październiku 1945 roku

(Dokończenie na str. 2)

SYNGMAN RHEE

(Dokończenie ze str.1)

do ojczyzny. Przyjęty jest entuzjastycznie przez swoich, lecz stosunki z Amerykanami kształtują się niepomyślnie. Amerykanie szukają na terenie Korei, jak i na innych terenach, porozumienia z Rosją. Łudzą się nadzieją lojalnej współpracy z komunistycznym rządem Północnej Korei, a właściwie możliwości kompromisu z Rosją i czerwonymi Chinami. Syngman Rhee nie ulega tym iluzjom, toteż nie jest uważany przez czynniki amerykańskie za „persona grata" i trzymany jest przez nie faktycznie w izolacji. Wreszcie przybywa do Korei nadzorcza komisja O. N. Z. W maju 1948 roku odbyły się pierwsze w Korei (oczywiście tylko w Południowej Korei) wolne, demokratyczne wybory. W rezultacie ich, Syngman Rhee zostaje wybrany, ogromną większością głosów, prezydentem republiki. Od tego czasu stosunek Amerykanów do Syngmana Rhee staje się ufniejszy i bliższy, jednak jego sugestie nie są brane przez Waszyngton pod uwagę. Nadchodzi moment krucjalny. Nie zapewniwszy obrony kraju, nie dopuściwszy do utworzenia siły zbrojnej narodowej w Południowej Korei, w 1949 roku Amerykanie wycofują swe wojska z półwyspu. Wkrótce potem komuniści przekraczają linię demarkacyjną, zajmują Kaesong i szybko posuwają się na południe. Pomimo braku jakichkolwiek środków obrony, nieugięty prezydent Rhee wzywa cały naród do bezwzględnego oporu i z garstką żołnierzy podtrzymuje walkę. 15 września (1949) wojska amerykańskie lądują z powrotem w Inchon, a Zjednoczone Narody (Rosja chwilowo usunęła się z organizacji) stwierdzają fakt agresji. Rozpoczyna się wojna koreańska.

Perypetie tej wojny są zbyt świeże w pamięci, by trzeba było je przypominać. Zmagania wojenne chwilowo teraz ustały, lecz Południowa Korea jest nadal zagrożona, a Północna w niewoli. Prezydent Syngman Rhee pozostaje symbolem woli całego kraju, który chce być wolnym i niepodległym członkiem wspólnoty narodów demokratycznych. Przyszłość jest we mgle, końca walki jeszcze nie widać. Sędziwy prezydent nie może jeszcze spocząć.

Biografia Syngmana Rhee, która jest jednocześnie historią walki o niepodległość Korei, w ciągu ostatnich lat sześćdziesięciu, może pobudzać do wielu rozmyślań o polityce wielkomocarstwowej, o powstawaniu i rozwoju ruchów narodowych i wolnościowych, o tragicznych konfliktach nacjonalizmów. W ramach niniejszych rozważań nie ma możności omówienia licznych wniosków, które książka R. Olivera nasuwa. Ograniczymy się do jednego tylko stwierdzenia. Silni tego świata, w walce między sobą, za wszelką cenę usiłują osiągnąć choćby niestałą równowagę i krótkotrwały pokój kosztem poświęcania narodów słabszych, których „nacjonalizm" piętnują, gloryfikując natomiast własny. Od wieków polityka ta daje nie kończący się łańcuch klęsk, zniszczeń i tragedii dla narodów i ludzkości; pokoju nie dała i dać nie może. Wszelka propaganda trwałego pokoju będzie zawsze bezpłodna, póki nie zostanie przełamany ślepy egoizm i oportunizm wielkich nacjonalizmów.

Feliks Frankowski

NA DRODZE POLSKIEJ TUŁACZKI LEŻAŁ

KLASZTOR W LATRUN

Któż z nas żołnierzy Brygady Strzelców Karpackich, którzy po przekroczeniu granicy syryjsko-palestyńskiej, z końcem czerwca 1940 roku, znaleźli się w obozie Latrun, nie przypomina sobie wznoszącego się opodal, w pięknym cyprysowym gaju, klasztoru oo. trapistów. — Byliśmy tam często na nabożeństwach, a niektórzy z nas korzystali z bogatego księgozbioru klasztornego, zasiadając z przyjemnością w chłodnym saloniku, tak różnym od naszych przemiękniętych upałem namiotów.

Zjawiał się tam zaraz w swej świetlanej aparycji gospodarz klasztoru o. Eliasz Corbisier, przynosząc na okrzepnięcie szklankę domowej fabrykacji wina i parę biszkoptów. Było coś w wątłej twarzy tego młodego zakonnika, co promieniowało jakby z wizerunku świętego, co zjednywało zupełnie nieziemskim urokiem, i wznosiło ku światu najwyższego wiekuistego szczęścia.

Żył wśród tych trapistów w Latrun zakonnik narodowości polskiej, ongiś proboszcz jednej z parafii wołyńskich, wiekowy i siwobrody, ojciec Kasjan.

Największą radość sprawiało mu, gdy mógł wyspowiadać polskiego żołnierza; toteż chętnie temu świątobliwemu kapłanowi powierzaliśmy nasze grzechy i życiowe udręki.

O. Kasjan pisywał religijne wiersze, ozdabiając je pięknymi rysuneczkami polnych kwiatów. Te pamiątki ofiarowywał nam nieraz, szczęśliwy, że chociaż poprzez kratę konfesjonału mógł zetknąć się z rodakiem, pocieszyć go i pobłogosławić na dalszą drogę życia.

Latruńskie opactwo wywarło na mnie tak niezwykły urok, a dnie i godziny, które spędzałem wśród jego murów, tak miłą stały się dla mnie pamiątką, że gdy w monitorze diecezjalnym Łacińskiego Patriarchatu Jerozolimskiego (No. 5 1955) spotkałem się z opisem opactwa, postanowiłem podzielić się tymi wrażeniami z Czytelnikami ŻYCIA, przedstawiając jerozolimski artykuł w tłumaczeniu.

Trapiści przybyli do Ziemi Świętej w roku 1890. Byli to cystersi należący do wielkiej rodziny benedyktyńskiej, którzy założyli w Latrun klasztor Matki Bożej Siedmiu Boleści.

Początki reformy cysterskiej, rozpowszechnionej przez św. Bernarda w Europie, sięgają końca XI wieku. Podjął ją w XVII wieku ks. Rancé, należący do klasztoru „de la Trappe", skąd pochodzi spopularyzowana nazwa trapistów. Papież Leon XIII powołał do życia w roku 1892 Zakon Cystersów Reformowanych dzielących się wówczas na kilka odmiennych reguł. Żywotność tego wielkiego pnia zakonu była ogromna, dzięki czemu rozwinęło się wiele jego gałęzi w różnych częściach świata tak, że dziś istnieje 70 męskich i 37 żeńskich klasztorów.

FUNDACJA

W sprowadzeniu trapistów do Ziemi Świętej ważną odegrał rolę Jerozolimski Patriarchat Łaciński, a głównie mgr. Poyet. On to podczas swej podróży do Francji w r. 1880, zaproponował opactwu w Sept Fons w Alliers założenie tej placówki w ojczyźnie Chrystusa. Zarówno opat jak i zgromadzenie przyjęło ową propozycję, niestety jednak fundacji nie można było przeprowadzić od razu, następnego zaś roku zakonnicy z Sept Fons zostali usunięci z ich własnego klasztoru.

Gorliwy monsignor nie zraził się tym jednak a w r. 1885 widziano go w Rzymie czyniącego starania o zatwierdzenie drogiej mu fundacji. Wreszcie w r. 1888 kapituła generalna zatwierdziła projekt postanawiając założenie klasztoru.

Jednocześnie Opatrzność zesłała opatowi z Sept Fons o. Sebastianowi Wyart, kogoś, kto mu dopomógł w wykonaniu jego zamiaru. Była to legendarna postać ks. Viallet, człowieka o zadziwiająco urozmaiconym życiu, w którym zmieściła się i szkoła oficerska w Saint-Cyr i służba w strzelcach afrykańskich, i w Legionie d'Antibes i udział w wojnie 1870, a następnie studia w seminarium w Saint Sulpice w St. Louis des Français, zaś w końcu, pustelnia w Palestynie.

Przepędziwszy pewien czas w grocie, ks. Viallet zmienił postanowienie i w r. 1890 zamieszkał w ruinach starożytnego Emmaus, żywiąc się jarzynami z własnego ogrodu i śpiewając od rana do wieczora mszę św. Nazwał się Kleofasem od imienia ucznia wspomnianego w Ewangelii.

Skoro tylko dowiedział się o postanowieniach powziętych co do fundacji klasztoru trapistów w Ziemi Świętej, udał się do Francji ofiarowując opatowi z Sept Fons usługi i zalecając okolicę swej pustelni jako świetne miejsce dla przyszłego klasztoru. Owo pośrednictwo ks. Viallet rozproszyło wielkie wątpliwości opata Dom Sebastiana i przełamało jego dotychczasową chwiejność. Ojciec Kleofas otrzymawszy habit oblata zakonu, został mianowany tymczasowym przełożonym tej nowej fundacji.

Wyjechawszy dnia 15 października 1890 r. pod przewodnictwem o. Kleofasa koloniści-zakonnicy przybyli do Jaffy z końcem tegoż miesiąca, witani z radością przez monsignora Poyet, zadowolonego, że jego zamierzenia pomyślnie się rozwijają.

Dom Makkabea, mający początkowo służyć jako prowizoryczny klasztor, nie był jeszcze wynajęty, musiało więc zgromadzenie zamieszkać na razie w pustelni Emmaus. Po podpisaniu kontraktu najmu tego domu i pewnej ilości gruntu, oraz po wykonaniu najniezbędniejszych adaptacji, zgromadzenie przeniosło w uroczystej procesji Przenajświętszy Sakrament z pustelni do nowego klasztoru. Odprawienie uroczyście śpiewanej Mszy św. dało początek fundacji klasztoru Matki Bożej Siedmiu Boleści w Latrun, po czym rozpoczęto codzienne praktyki życia zakonnego.

OPACTWO W LATRUN

Zakonnicy tworzący to nowe zgromadzenie byli przeważnie ludźmi młodymi i zapalonymi, więc łatwiej im szło zwalczanie przeciwności ciężkiej założycielskiej pracy. A trzeba powiedzieć, że towarzyszyły jej szczodrze zsyłane przez Opatrzność przykre doświadczenia, będące bolesnym chrztem dzieł ukochanych przez Boga.

Niezdrowa malaryczna okolica Latrun paraliżowała często rozwój prac. Stosunek ludności miejscowej był nie zawsze przyjazny, a często wrogi. Zwolna jednak zwiększała się posiadłość, którą zdrenowano, obsadzono i zabudowano. Ludność wsi okolicznych zakonnicy zjednywali miłosierdziem swoim, a szczególnie założeniem domu ubogich, w którym leczono, co nie tylko wzbudziło uznanie, lecz także i uczucia wdzięczności.

Ludziom zwiedzającym dziś klasztor i podziwiającym jego obszerną posiadłość, trudno byłoby wyobrazić sobie, w jakim stanie znajdowała się ona w chwili, w której objęli ją trapiści.

Kiedy msgr. Le Camus przejeżdżał przez Latrun, w początkach powstania klasztoru, zapytywał w artykule drukowanym w „La Revue Biblique", dlaczego trapiści wyszukali sobie najdzikszą okolicę Palestyny, kiedy wiele innych terenów zapewniało im łatwiejsze i korzystniejsze możliwości rozwoju. Dzisiaj nikt takich pytań nie stawia, a zwiedzający znajdują, iż miejsce wybrane przez trapistów nie mogło być lepsze.

Pierwsza wojna światowa zahamowała rozwój klasztoru w Latrunie; członkowie zgromadzenia bądź to zostali wygnani przez Turków, bądź też zmobilizowani. U trapistów zakwaterował się oddział armii tureckiej, dowodzony przez pułkownika Jamel Paszę, przyszłego Attaturka. Później została tam stworzona szkoła rolnicza, przy czym cały majątek klasztoru został zrabowany.

W r. 1919 zakonnicy powrócili na dawne miejsce i zaraz wzięto się dzielnie i odważnie do napraw, a raczej do ponownego zakładania fundacji.

Wielebny o. Paweł Couvreur był duszą tego wznawiania. W r. 1925 został on tytularnym przeorem, a w r. 1926 rozpoczęto budowę rzeczywistego klasztoru w bardziej już zdrowym miejscu. Jako inżynier-architekt o. Couvreur sam wykonał plan i kierował budową. W r. 1927 został on wybrany opatem klasztoru oo. trapistów pod wezwaniem Matki Bożej Siedmiu Boleści.

Dnia 21 listopada ubiegłego roku dzieło budownicze opata o. Pawła Couvreur zostało zakończone konsekracją kościoła opactwa, sam zaś opat z powodu złego stanu zdrowia musiał z końcem r. 1951 ustąpić. Na miejsce jego wybrano o. Eliasza Corbisier.

ŻYCIE TRAPISTÓW

Przed zakończeniem tego szkicowego opisu dziejów Latrun należy słów parę poświęcić samemu życiu trapistów, jak i też promieniowaniu tego życia na zewnątrz.

Dzień zakonnika cystersa rozpoczyna się o godzinie 2 nad ranem i składa się z trzech głównych czynności: modlitwy, lektury religijnej i pracy ręcznej.

Modlitwa liturgiczna łącznie z uroczystym śpiewaniem nabożeństw, których najistotniejszą częścią jest Msza konwentualna, śpiewana codziennie, rozłożona jest na różne pory dnia i trwa 7 godzin. Zakonnik jest przede wszystkim człowiekiem modlącym się za tych, którzy się nie modlą. Łącząc się z Bogiem w Tabernakulum wielbi, składa dziękczynienie, prosi o łaski, przeprasza za udręki Mistycznego Ciała. Nabożne czytanie oparte o Pismo Święte, teologię, i pisma Ojców Kościoła karmią duszę zakonnika i usposabiają go do kontemplacji. Praca ręczna odpręża umysł a jednocześnie jest pokutą uzupełniając inne tego rodzaju praktyki stosowane w regule zakonnej.

Trapista zarabia na chleb. Naśladując Jezusa z Jego okresu nazaretańskiego, oraz Matkę Boską, św. Józefa i św. Pawła, trapista nie chce być niczym ciężarem, stara się utrzymywać pracą własnych rąk.

Świat nieraz potępia klasztory kontemplacyjne, oceniając ich życie jako niepotrzebne i próżniacze; w przeciwieństwie jednak do tej opinii wyraził się Ojciec św. Pius XI potwierdzając w bulli „Umbratilem" regułę kartuzów: „Ci, którzy pędzą życie na modliwie i na pokucie, są o wiele bardziej użyteczni dla dobra Kościoła i dla zbawienia dusz, niż ci którzy pracują w winnicy Pańskiej".

Życie zakonne w Egipcie i Palestynie było początkowo kontemplacyjne; następnie stało się ono mieszane, a w dalszym ciągu — czynne. — Mimo to Kościół, dbający o zachowanie charakteru kontemplacyjnego zakonów utrzymał go aż do czasów dzisiejszych. Czyż nie jest to potrzebne, zwłaszcza w dobie obecnej i w świecie dzisiejszym, w którym tak często zapomina się o Bogu, by istniało kilka chociażby domów, niestety nielicznych domów, w których dusze oderwane od wszelkiego stworzenia usiłują doskonalić się w służbie i miłości Boga? W tym celu zakonnicy z Latrun stworzyli szkołę dla młodzieży, która dała im nieco powołań. — W zasadzie klasztor kontemplacyjny nie zajmuje się pracą charytatywną. A jednak w ośrodku klasztoru oo. trapistów został przez nich stworzony lazaret pielęgnujący około 15.000 chorych rocznie. Posiadają oni również hospicjum, gościnnie przyjmując przybywających, z którego i niekatolicy wynoszą zawsze jak najkorzystniejsze wrażenia i wspominają z uznaniem naszą religię.

Głównym obowiązkiem trapistów jest modlitwa, przykład oparty na radach ewangelicznych oraz miłosierdzie stosowane względem wszystkich...

Latrun jest zarówno placówką Kościoła świętego jak i przykładem prawdy i pokoju w świecie nienawiści i niezgody.

Przełożył
W. A. Cieński

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Konkurs na sanktuarium Matki Boskiej Płaczącej. W Syrakuzach Komitet Matki Boskiej Płaczącej rozpisał międzynarodowy konkurs na sanktuarium dla uczczenia Matki Boskiej, której posążek w Syrakuzach płakał nad niedolą dzisiejszej ludzkości. Sanktuarium ma obejmować nie tylko świątynię mogącą pomieścić 20.000 osób, ale i rozwiązanie urbanistyczne budynków związane z sanktuarium, a więc plebanię, dom parafialny, lokale dla przyjmowania pielgrzymów, ponadto dom dla przynajmniej 200 sierot. Prace na konkurs należy nadsyłać do 30 kwietnia 1956 r. Pierwsza nagroda wynosi 8 milionów lirów, druga 4 miliony, trzecia — 2 miliony.

Stolica Apostolska wobec problemu energii atomowej. W Genewie na konferencji dla pokojowych zastosowań energii atomowej była także delegacja Stolicy Apostolskiej z prof. Enrico Medi na czele. Prof. Medi urządził śniadanie na cześć urzędu i sekretariatu konferencji, w której wzięli udział prezes konferencji dr Bhabha, wiceprezes generał de Mattos, wiele wybitnych osobistości i akademik papieski Francesco Giordani, profesor chemii ogólnej na uniwersytecie w Neapolu. W czasie śniadania zebrani mówili o wadze, jaką przykładają do obecności i udziału Stolicy Świętej w pracach nad zużytkowaniem energii atomowej dla celów pokojowych.

Chińczyk rządzi parafią w Niemczech. Chińczyk o. Sun, który w roku 1949 opuścił swój kraj rodzinny i został wyświęcony na Filipinach na księdza, objął parafię św. Bonifacego w Herne w Niemczech, jakby spłacając w ten sposób dług zaciągnięty przez jego ojczyznę wobec Europy, z której misjonarze, także narodowości niemieckiej, spieszyli na podbój Chin dla Chrystusa.

Radio Ecclesia. W Angoli od 8 grudnia 1954 r. działa radiowa stacja nadawcza pod nazwą Radio Ecclesia. Żywi się nadzieję, że od 8 grudnia roku bieżącego stacja ta będzie mogła nadawać na falach długich i na dwóch długościach fal krótkich, co pozwoli, że audycyj będzie można słuchać na obszarze całej Angoli, a nawet w Europie. W sierpniu Episkopat Angoli zwrócił uwagę wiernych na wielkie znaczenie katolickich audycyj radiowych.

Msza św. po angielsku w Stanach Zjednoczonych. Znany w całym świecie biskup Sheen odprawił 5 września Mszę św. pontyfikalną po angielsku wobec stutysięcznych rzesz zebranych na dorocznej pielgrzymce katolików obrządku wschodniego do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Zezwoliła na to Św. Kongregacja dla Kościoła Wschodniego. Biskup Sheen odprawił Mszę św. według rytu bizantyńskiego, w szatach liturgicznych tegoż obrządku. W języku starosłowiańskim zostały jednak wymówione słowa konsekracji i niektórych doksologij. Msza św. odprawiona była na intencję nawrócenia Rosji. U schizmatyków używa się od pewnego czasu w tekstach liturgicznych także języka angielskiego i japońskiego.

BIBLIOTEKA POLSKA

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS",
12 PRAED MEWS, LONDON, W. 2.

W SUBSKRYPCJI NA PAŹDZIERNIK

SURSUM CORDA

KS. BISKUP FULTON JOHN SHEEN

Tłumaczył Wiesław Pisarczyk

CENA szyl. 9/-.

...Słuchany przez miliony Amerykanów prelegent radiowy i telewizyjny biskup Sheen ujmuje w tej książce rozważania na temat: Po co żyjemy i jak powinniśmy żyć.

FELIKS BOHDANOWICZ **2)**

Z ZAGADNIEŃ WSPÓŁCZESNEJ PSYCHOLOGII

SNY W ŚWIETLE PSYCHOANALIZY

Nasuwają się tu zagadnienia ogólne mechanizmu wypracowania marzeń sennych. Otóż zawartość jawna jest pewnym skrótem treści ukrytej, przedstawionej w obrazach. Sen więc jest kondensacją myśli, zawartej w ukrytej części marzenia. Ponadto mamy do czynienia z przeniesieniem ładunku uczuciowego z przedmiotu normalnego na przedmiot dodatkowy (w omawianym przykładzie snu zamiast rywalki występuje piesek). Jest to wynik istnienia cenzury. Jak już stwierdziliśmy, w sennych marzeniach istotną ich część zajmują obrazy wzrokowe. Myśl, pojęcie przybiera kształty plastyczne. Myśl podświadoma wyraża w obrazach to, co myśl świadoma w pojęciach, słowach. Proces ten nazywa Freud dramatyzacją. Oto przykład takiej dramatyzacji. Pewna osoba znajduje się w stanie depresji duchowej, gdyż wszystkie jej ciągle ponawiane wysiłki postępu duchowego spełzają na niczym. Fakt ten w marzeniu sennym dramatyzuje się w sposób następujący. Śni się owej osobie chrabąszcz wspinający się po słupku. Skoro tylko owad zbliża się ku szczytowi, dziewczynka stojąca obok dotyka jego nóżki i chrabąszcz spada, aby ponownie zacząć wspinaczkę i ponownie w taki sam sposób stoczyć się w dół.

Dlaczego myśl przyobleka się we śnie w kształty plastyczne, w obrazy? Oto dlatego, że sen jest wypowiedzią nieświadomości, którą cechuje irracjonalizm. Wszelkie stosunki logiczne, charakteryzujące naszą myśl, są niedostępne dla nieświadomości, która operuje jedynie percepcjami zmysłowymi, wyobraźnią (analogiczność sytuacji między np. sztukami plastycznymi a poezją).

W marzeniach sennych ma szerokie zastosowanie symbolizacja. W potocznym rozumieniu tego pojęcia moglibyśmy powiedzieć, że wspomniany piesek z sennego marzenia symbolizuje rywalkę, albo też owe spadanie chrabąszcza jest symbolem depresji duchowej śniącego osobnika. Nie jest tak w ścisłym ujęciu pojęcia symbolu, który się różni zasadniczo od wspomnianych przykładów dramatyzacji i transpozycji (przeniesienia). Bowiem dramatyzacja polega na przejściu od pojęcia do obrazu (depresja duchowa — spadający chrabąszcz), zaś transpozycja — na zamianie jednego konkretu przez drugi (rywalka — piesek). Otóż symbolizacja (w ujęciu Freuda) różni się od tych dwóch czynników snu tym, że 1) jest przejściem od jednego konkretu do drugiego, oraz — co jest bardzo ważne — ma znaczenie nie indywidualne jak w transpozycji (rywalka — piesek), lecz ogólne, wspólne dla wszystkich.

Freud uważa, że symbolizm jest formą myślenia prymitywną, jako wynik kojarzenia się obrazów w niższej części psychizmu i nie jest jako taki koniecznym wynikiem działania cenzury. Jednak w rzeczywistości najczęściej występuje jako skutek cenzury. Niektórzy freudyści twierdzą, że symbolizacji ulegają instynkty pierwotne, a więc te, które są spychane do nieświadości. A ponieważ według teorii Freuda najsilniejszym instynktem w psychizmie niższym jest erotyzm, toteż symbole te w przeważającej mierze mają jako cel przemycenie z powrotem do świadomości usuniętych stamtąd tendencji seksualnych.

Freud w dziedzinie interpretacji marzeń sennych był ograniczony światopoglądem materialistycznym i epikurejską „zasadą przyjemności". Interesował się jedynie przyczynowością sprawczą, ograniczając swe badania do szukania odpowiedzi na pytanie „dlaczego". Teoria Freuda i jego szkoły była skrajnie empiryczna. On i jego zwolennicy twierdzili, że poznanie nasze jest jedynie funkcją doznań zmysłowych i że te doznania wyłącznie warunkują powstanie pojęć i idei; pojęcia są więc skutkiem (a nie przyczyną — jak twierdził czysty racjonalizm) obrazów i doznań zmysłowych. A ponieważ te obrazy, doznania, uczucia są przejawami psychizmu niższego — instynktów tkwiących swymi korzeniami w nieświadomości — więc eo ipso świadomość jest uwarunkowana nieświadomością i że wobec tego tak zwane pojęcia wyższe i idee jak sztuka, religia, moralność pochodzą z nieświadomości i stanowią wysublimowanie niższego psychizmu. A ponieważ najistotniejszym instynktem i główną treścią nieświadomości dla Freuda jest Eros, wobec tego jego zdaniem tak sztuka jak i religia wywodzą swój rodowód z seksualizmu. O ile w dziedzinie sztuki Freud było nieco zakłopotany zagadnieniem, jak wobec tego zjawiska wyższego rzędu mogą powstać z niższych — to w sprawie religii i moralności nie miał tych obiekcji, nie ukrywając zresztą wyraźnej do tych dziedzin niechęci a nawet wrogości.

Niektóre umysły ze szkoły freudystów, nie chcąc się zamknąć w wąskim widnokręgu materializmu i skrajnego empiryzmu swego mistrza, zainteresowały się nie tylko zagadnieniem przyczynowości sprawczej przez szukanie odpowiedzi na pytanie: dlaczego?, lecz postawiły sobie zagadnienie, jaki cel mogą mieć marzenia senne. Tym pytaniem zostało wprowadzone zagadnienie przyczynowości celowej. Postawianie tego pytania rozszerzyło ramy psychoanalizy, bo do zagadnienia samej dotychczas analizy zjawisk doszła teraz i konieczność syntezy, jaką postuluje celowość.

Wprowadzenie tego zagadnienia spowodowało rozłam wśród psychoanalityków i powstanie dwóch szkół: wiedeńskiej (Freuda) i zurychskiej (Junga). Ta ostatnie zerwała z wąskim pojęciem przyczynowości sprawczej, przydatnej dla nauk fizykalnych, lecz nie wystarczającej do badań zjawisk biologicznych a tym bardziej psychicznych, dla których istotną jest przyczynowość celowa.

Szkoła zurychska bynajmniej nie kwestionuje samej zasady przyczynowości sprawczej i jej zastosowania w zjawiskach psychicznych, lecz ją modyfikuje, usuwając z niej materialistyczną cechę determinizmu, właściwą szkole wiedeńskiej. Jung uznaje istnienie elementu determinującego, jakim jest aktualna sytuacja świadomości i okoliczności chwili, które warunkują powstanie marzenia sennego, lecz ten związek przyczynowy traktuje jako funkcję wieloznaczną. Ten sam problemat w każdym szczegółowym wypadku ma inne powiązania ze świadomością i w wyniku będzie miał odmienne znaczenie, uwarunkowane innymi szczegółami. Ten kondycjonalizm Junga jest rozszerzoną formą przyczynowości sprawczej, która nie jest u Junga usunięta, lecz dostosowana do niesłychanie skomplikowanego zjawiska, jakim jest życie, które nie może być ujęte mechanistycznie, jak to czyni determinizm materialistyczny. Według Freuda, jednakowe sny dwóch różnych osobników są spowodowane jednakową przyczyną. Jung odwrotnie twierdzi, że np. te same sny u osoby starszej mają zupełnie inny sens niż u dziecka. Przyczyna sprawcza jest funkcją przyczynowości celowej, która pobudza do działania przyczynowość sprawczą, aby osiągnąć cel, którym jest dobro, właściwe dla danego bytu.

Wprowadzenie przez szkołę zurychską zasady celowości marzeń sennych niezmiernie rozszerzyło i pogłębiło możliwości interpretacyjne marzeń, gdyż zamiast wąskiej, szablonowej w swym zastosowaniu „zasady przyjemności", sprowadzonej głównie do zaspokojenia pożądań erotycznych, otworzyło szerokie perspektywy innych celów i przeznaczeń człowieka. Rozejście się ze szkołą freudystów nie wynikało z przyjęcia przez Junga a priori założeń spirytualistycznych, lecz właśnie sumienne i wnikliwe doświadczenia i badania nad psychiką ludzką i jej przejawami doprowadziły go do zmiany poglądów.

Szkoła zurychska nie kwestionuje bynajmniej wartości czynnika seksualnego i jego roli, lecz nie czyni go wyłącznie lub głównie źródłem energii psychicznej — tak samo jak i adlerowską zasadę dążenia do władzy: oba te czynniki odgrywają swoją rolę w procesach psychicznych. Lecz dla Junga ogromną wagę posiadają czynniki właściwe tylko człowiekowi: wrodzone mu poczucie religijno-moralne, stanowiące samoistny i potężny w swej mocy bodziec, nie pochodzący z tych zasadniczych instynktów, właściwych niższemu psychizmowi. Właśnie istnienie napięcia między wyższym a niższym psychizmem warunkuje według Junga powstanie energii psychicznej — analogicznie jak dla energii fizycznej różnica napięć (temperatury, poziomów itp.) jest warunkiem sine qua non jej istnienia. Całe życie psychiczne i wszelkie z nim związane procesy opierają się na istnieniu przeciwieństw, które dynamizują psychikę ludzką. Sam Freud spostrzegł się w końcu, że muszą istnieć dwa bieguny, bez których nie ma warunków do powstawania energii psychicznej, a która jest takim samym faktem jak i energia fizyczna. Toteż założył istnienie w człowieku dwóch przeciwnych sobie instynktów: życia i śmierci. Ten ostatni instynkt nie wygląda przekonywująco, przyjęty jest raczej a priori dla przeciwstawienia go instynktowi życia, który według Freuda znajduje swój wyraz w seksualizmie.

Dla Junga takimi przeciwstawnymi biegunami psyche są świadomość i nieświadomość. Przeciwstawność ta polega na odrębnej treści obu obszarów. Bowiem na treść nieświadomości składają się czynniki psychiczne, przeciwstawne świadomej postawie a przeto zepchnięte za próg świadomości. Dopiero uświadomienie istnienia zepchniętych do nieświadomości czynników wytwarza napięcie, warunkujące powstanie energii psychicznej, niezbędnej dla rozwoju życia psychicznego. Bowiem trzeba pamiętać, że do nieświadomości mogą być zepchnięte nie tylko czynniki ujemne, lecz i dodatnie — wydobycie tych ostatnich i włączenie ich do inwentarza świadomości jest rzeczą wielkiej wagi w dążeniu do uzyskania pełni osobowości. Jednostronność rozwoju psychiki powoduje okaleczenie osobowości, a poza tym stanowi istotne źródło wszelkiego rodzaju zaburzeń nerwowych i psychicznych.

Powyższe rozważania zilustrujemy konkretnym przykładem analizy snu, która będzie równocześnie streszczeniem i uzupełnieniem zasadniczych rozbieżności pomiędzy obu szkołami. Przykład jest zaczerpnięty z dzieła Junga pt. „L'homme à la découverte de son âme" (przekład z oryg. niem.).

Pewnemu młodzieńcowi śni się, że znalazł się w ogrodzie i zerwał po kryjomu jabłko, obserwując, czy nikt tego nie widzi.

Przytoczone senne marzenie stanowi jego treść jawną. Przystępujemy do wykrycia sensu czyli treści ukrytej. Senne marzenie nie występuje nigdy bez związku ze świadomością, lecz tworzy pewną konstelację z przeżyciami stanu świadomego. Wykrycie tych powiązań odbywa się drogą skojarzeń, wspomnień, jakie nasuwają się śniącemu z okazji marzenia sennego. Przypomina on sobie fakt, że będąc dzieckiem zerwał po kryjomu kilka gruszek w ogrodzie. W przeddzień snu spotkał na ulicy znajomą dziewczynę, względem której zresztą nie żywił żadnych uczuć. W tym momencie minął go jeden z jego znajomych i jakieś niewyraźne uczucie owładnęło nim, coś w rodzaju wyrzutu sumienia. Z jabłkiem skojarzyło się przypomnienie sceny w raju, przy czym nie mógł nigdy zrozumieć racji tak surowych konsekwencji, niesprawiedliwych w jego mniemaniu. Dalej, przypomniał sobie jeden fakt z lat dziecinnych, gdy za podglądanie kąpiących się dziewczynek został przez ojca niezwykle surowo ukarany, której to surowości nie mógł zrozumieć. Zwierzył się również przed swym rozmówcą, lekarzem-psychologiem, że ostatnio nawiązał flirt ze służącą, nie doprowadzony jednak do naturalnych konsekwencji. W przededniu snu również miał spotkanie z nią.

(Ciąg dalszy nastąpi)

ŻYCIE KULTURALNE

NOTATKI

WBREW spodziewaniu i wbrew szumnym zapowiedziom, Rok Mickiewiczowski mija zarówno w Kraju jak na emigraji bez większych wydarzeń. Bądź co bądź Mickiewicz należy do nauki, a do jej zamków byle kluczyk się nie nadaje. Na emigracji oczekujemy na dwa tomy różnojęzycznych prac o Mickiewiczu: londyńsko-paryski (pod redakcją prof. St. Strońskiego) i kolumbijski (pod redakcją prof. W. Lednickiego) oraz na zbiór szkiców literackich, zebranych przez Związek Pisarzy (pod redakcją H. Naglerowej). W pierwszych dwu wymienionych tomach znajdą się przeważnie prace filologów cudzoziemskich.

W ogóle zanosi się na to, że poza Krajem Mickiewicza w stulecie zgonu uczczą przede wszystkim cudzoziemcy, a nie polscy emigranci. UNESCO przygotowuje wielki tom Mickiewiczowski, przy czym dla przejrzenia tej pracy bawił niedawno w Paryżu prof. Kazimierz Wyka z Krakowa. Amerykańskie wydawnictwo „The Noonday Press" przygotowuje na listopad r. b. tom przekładów Mickiewicza na język angielski pióra Clark Mills'a, poprzedzony obszernym essejem Jana Lechonia.

Dlaczego emigracja polska wnosi w rocznicę Mickiewiczowską tak niewiele nowego o życiu i twórczości poety? Po pierwsze dlatego, że polonistów-filologów nie ma poza Krajem zbyt wielu, a po wtóre dlatego, że archiwa Mickiewiczowskie zazdrośnie strzegą swych skarbów, nie dopuszczając do nich nawet znanych naukowców. Np. Biblioteka Polska i Muzeum Mickiewiczowskie w Paryżu posiadają jeszcze mnóstwo niezbadanego materiału, związanego z życiem i działalnością poety, m.in. kilka skrzyń listów do niego. Podobno do tych zbiorów nie ma sposobu się dostać. Również biblioteka klasztoru oo. zmartwychwstańców w Rzymie przechowuje ponoć również niezbadane materiały związane z życiem Mickiewicza.

*

NIEPRZEJEDNANI emigranci mają swoje słabości, tak jak kiedyś szlachta miała swoich Żydów. W dobrych sferach emigracyjnych nie wolno np. źle o mówić o Feliksie Topolskim. A Feliks Topolski, oprócz tego, że jest wybitnym artystą, o czym nikt nie wątpi, jest także, powiedzmy oględnie, sympatykiem Polski „Ludowej".

Na zjeździe pokojowym we Wrocławiu w r. 1950 gardłował za owymż pokojem jako obywatel brytyjski. Ilekroć z Polski przyjeżdża ktoś bardzo eminentny z grona intelektualnej elity marksistowskiej, Topolski jest dlań pierwszym „kontaktem". Przyjmuje pisarzy, aktorów i innych takich. Zawsze walą oni jak w dym w progi „Felusia". Obecnie znów Topolski wybiera się do Warszawy, aby tam wymalować jakieś wielkie panneau. Wyjazd zbiega się z krzykliwą agitacją powrotową.

Pisma emigracyjne mają dla Feliksa tylko zachwyt. „Orzeł Biały", tak nieprzejednany niepodległościowo, zaopatrzył niedawno wiadomość o wyprawie Topolskiego do Warszawy komentarzem tej treści, że artysta wcale nie wyjeżdża tam na stałe, lecz tylko na jakiś czas. Po co więc reżym uważa to za swój sukces? Taki komentarz, to już duży sukces reżymu.

*

W „LIŚCIE do Włodzimierza Wnuka", zamieszczonym w nrze 35 (427) ŻYCIA pisałem, że martwi nas to, iż o granicach na Odrze i Nysie nie wolno wspominać w audycjach Radiostacji Wolnej Europy. Niedokładne sformułowanie tej sprawy mogłoby wywołać nieporozumienie. „Głos Wolnej Polski" bowiem wielokrotnie, w przemówieniach polskich działaczy emigracyjnych, w przeglądach prasy i w dziennikach radiowych, mówił o granicy na Odrze i Nysie w sposób odpowiadający zgodnej opinii społeczeństwa polskiego w Kraju i na emigracji.

Oczywiście, bez porównania łatwiej pisać o naszej granicy zachodniej na łamach polskich pism emigracyjnych niż na falach rozgłośni amerykańskiej, nadającej z Monachium, z terytorium suwerennych Niemiec. Ale niesprawiedliwością byłoby twierdzić, że radiostacja ta zachowuje w tej sprawie zupełne milczenie. Chodzi o co innego: na nasz gust, mówi o tym za mało. Ale to już nie jest wina polskiego kierownictwa i polskiej obsady rozgłośni.

*

W „NOTATKACH" pisaliśmy już dwukrotnie o pierwszym piśmie polskim „Merkuriusz Polski", które w roku 1661 ukazało się w Krakowie. W „Pracach Polonistycznych" Uniwersytetu Łódzkiego, seria XII, ukazała się niedawno ciekawa, choć oczywiście podbarwiona propagandą, praca Zofii Libiszowskiej pt. „Pierwsza gazeta polska". Jest to rozprawa o „Merkuriuszu". Pierwszy numer tego pisma ukazał się dnia 3 stycznia 1661, podczas pobytu pary królewskiej (Jana Kazimierza i Ludwiki Marii) w Krakowie. Był to okres zamierzonych przez światłego króla reform społecznych i państwowych. „Merkuriusz" powstał przypuszczalnie z inicjatywy dworu. Wydawcą był Jan Aleksander Gorczyn. Otrzymał on przywilej wyłączności kolportażu i sprzedaży pisma. Drukował je gdański księgarz i drukarz Jerzy Forster, osiadły w Krakowie, w kamienicy Szoberowskiej. Kiedy „Merkuriusz" zyskał powodzenie w całym kraju, redakcję przeniesiono do Warszawy.

EMIGRACYJNY ruch wydawniczy osiągnie najwyższy poziom, zarówno pod względem jakości jak ilości wydanych książek, w roku bieżącym. Już obecnie, z końcem września, bibliografia wydawnictw emigracyjnych jest najbogatsza w ciągu dziesięciolecia emigracji, tj. od roku 1946. Do końca roku ma wyjść jeszcze wiele wartościowych książek.

„Veritas" wyda w ramach „Biblioteki Polskiej": „Granatową załogę" Wincentego Cygana (w tej chwili w oprawie), „W oczach Zachodu" Józefa Conrada Korzeniowskiego, w nowym przekładzie Wita Tarnawskiego (wejdzie na rynek za kilka dni), powieść Jerzego Kossowskiego „W Wogezach straszy nocami" (II część trylogii o dziejach emigrantów w Brazylii; tom II przedstawia historię „Brazylianów" w szeregach armii polskiej we Francji w r. 1940 i w niemieckiej niewoli); w druku znajduje się wybór gawęd z wierchowiny huculskiej Stanisława Vincenza „Na wysokiej połoninie", dzieło ks. Biskupa Fultona Sheena „Sursum Corda" oraz „Pisma poetyckie" Adama Mickiewicza w jednym, 800-stronicowym, tomie. Wkrótce „Veritas" ogłosi plan subskrypcyjny na rok przyszły.

„Kultura" zapowiada wydanie tomu prozy Mariana Pankowskiego „Smagła swoboda" i nowej powieści (700 stron!) Teodora Parnickiego pt. „Koniec zgody narodów". Nakładem „Orbisu" ma się ukazać rychło nowa powieść Józefa Mackiewicza „Karierowicz".

Na ukończeniu jest druk monumentalnego dzieła prof. Zbigniewa Dmochowskiego „Dzieła architektury w Polsce", nakładem Polish Research Centre. Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie przystąpiło do publikacji historii „Nauki polskiej na obczyźnie" w ciągu piętnastolecia. Opracowania zawierają zwięźle ujętą historię emigracyjnych szkół wyższych, teksty dyplomów oraz wykaz wykładowców i absolwentów, którzy uzyskali stopnie naukowe. W zeszycie I znajdą się następujące opracowania: „Nauka polska na obczyźnie 1939-1954" (T. Sulimirski), „Uniwersytet Polski w Paryżu" (T. Sulimirski), „Polski Wydział Lekarski przy Uniw. w Edynburgu" (J. Rostowski), „Kurs przyrodniczy w Duddington" (B. Śliżyński), „Komisja Akademickich Studiów Medycyny Weterynaryjnej w Edynburgu" (S. Mglej), „Studium Pedagogiczne w Edynburgu" (T. Sulimirski), „Studium Prawno - Administracyjne w Londynie" (T. Sulimirski), „Polski Wydział Prawa przy Uniwersytecie w Oksfordzie" (T. Brzeski), „Studium Polonistyczne przy Instytucie Polskim w Bejrucie (S. Kościałkowski).

Piękny album zapowiada Zrzeszenie Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie, a mianowicie Stefana della Belli „Wjazd wspaniały posłów polskich do Paryża A. D. 1645", w opracowaniu i ze wstępem Mieczysława Paszkiewicza.

„Oficyna Poetów i Malarzy" kończy druk tomu zbiorowego (zawierającego także wiersze dotąd nieogłoszone) Marii Pawlikowskiej Jasnorzewskiej.

W drukarni „Veritasu" trwają prace nad książką Rosy Bailly o Lwowie, w języku angielskim.

Wyżej przytoczona lista zapowiedzianych wydawnictw jest jeszcze niepełna. Ale jak z niej wynika, emigracja wyszła już dawno ze stanu apatii i pod względem wydawniczym osiąga chlubne wyniki.

*

GORZEJ jest z teatrem, zdanym na doraźne zrywy. Tak dobrze zapowiadający się „Teatr Nowy" spoczął na laurach i od kilku miesięcy, po zejściu z afisza „Obrony Ksantypy", nie wystawia niczego.

Na Rok Mickiewiczowski aktorzy polscy wybrali sztukę Romana Brandstaettera „Noce narodowe", napisaną w Kraju. Sprawozdanie z premiery ukaże się w następnym numerze ŻYCIA.

J. B.

LITERATURA

NOWA LITERATURA JAPOŃSKA

Japonia produkuje corocznie książek więcej niż którykolwiek inny kraj azjatycki i mało tylko w tym zakresie ustępuje czołowym krajom Europy. Z kilku charakterystyk nowej literatury japońskiej, które ukazały się ostatnio w prasie Zachodu, najlepszą bodaj zamieścił „Times Literary Supplement" w omawianym już parokrotnie w ŻYCIU numerze specjalnym.

Za czołowy rodzaj literacki uważana jest przez krytyków japońskich powieść („shōsetsu" po japońsku); służy ona za podstawę do klasyfikacji prądów i kierunków w literaturze. Krytycy ci natomiast mało stosunkowo poświęcają uwagi poezji i dramatowi.

Pisarze japońscy są bardzo rozlewni w mówieniu i pisaniu o swej pracy, swej roli w społeczeństwie i swych obowiązkach. Wszystkie historie literatury japońskiej pełne są definicyj takich jak: romantyzm, naturalizm, idealizm, szkoła „rozrywkowa", neoromantyzm, realizm. Nazwy te nie tylko służą krytykom do wprowadzania podziałów w dziejach literatury, ale zostały przeważnie zapożyczone lub wynalezione przez samych pisarzy, którzy w okresie nowoczesnym poczęli łączyć się w szkoły. Obserwator cudzoziemski łatwo jednak zauważa, że dzieła pisarzy, w teorii mocno sobie przeciwległych, wykazują znacznie mniej różnic, niżby można się było spodziewać. W praktyce tak wybitnych pisarzy, jak Mori-Ōgai, Natsume-Sōseki, Akutagawa-Ryūnosuke czy Tanizaki-Jun-inchirō, trudno zaliczyć, jeśli chodzi o całość ich twórczości, do którejkolwiek z tych szkół.

Niemniej taki nacisk kładzie się w Japonii na teoretyczny aspekt powieści, że trudno go pominąć w krótkiej nawet charakterystyce. Do roku 1920 i jakiś czas jeszcze potem głównym przedmiotem dyskusji była strona estetyczna utworów literackich; wyznaczanie powieściom roli społecznej było zwalczane jako rzecz przestarzała („oficjalna" rola powieści w ciągu trzech stuleci przed r. 1868, tj. przed przywróceniem władzy mikada i zniesieniem szogunatu, polegała na moralizowaniu mas). Później jednak powstała „szkoła proletariacka" pisarzy lewicowych, która za cel postawiła sobie demaskowanie niesprawiedliwości społecznych i prowadzenie wojny klasowej. Wpływ tej szkoły przetrwał jej zgniecenie przez policję wkrótce po r. 1930 i ścisłą kontrolę lat wojennych. Za klasyczne dzieło tej szkoły uważać można „Kani-kōsen" (1929) pióra Kobayashi-Takiji.

W ostatnim dziesięcioleciu, to jest od chwili kapitulacji Japonii, literatura stała się odbiciem ruchów politycznych i społecznych, nurtujących kraj. Początkowo objawiało się to w reakcji przeciw wpływowi czynników wojskowych na rządy, przeciw tłumieniu ruchów lewicowych i przeciw tendencjom do purytańskiego pojmowania moralności publicznej. Wzmocniła się pozycja dawnej „szkoły proletariackiej" i przez pewien czas nawet nie-marksistowscy pisarze „postępowi", łącznie z marksistami, korzystając z ówczesnej „przyjaźni" między Stanami Zjednoczonymi a Rosją Sowiecką, głosili konieczność powstania nowej antymilitarystycznej literatury japońskiej. Trwało to jednak niedługo, gdyż pisarze nie-marksistowscy wkrótce porzucili te związki, a później, w okresie wojny koreańskiej, rozbudziła się znów reakcja przeciw działalności skrajnej lewicy (tj. w praktyce komunistów i ich popleczników). W rezultacie cały ten ruch wkrótce upadł, nie wydawszy żadnego wybitnego dzieła.

Wyrazem powojennej swobody stało się też początkowo duże rozluźnienie moralności seksualnej. Znalazło ono odpowiednik w „nikutai-bungaku" (literaturze cielesnej"), której autorzy głosili, że jedyną metodą osiągnięcia szczęścia jest zażywanie rozkoszy cielesnych. Szkoła ta nie istniała jednak długo; dzisiaj większość Japończyków wstydzi się jej i wolałaby, by świat o niej w ogóle zapomniał.

W latach 1950-1952 dominowała szkoła „fūzoku-shōsetsu" (powieści obyczajowych), opisujących świat w sposób realistyczny lub satyryczny; ta grupa liczna i zróżniczkowana wyprodukowała większą część wytwórczości literackiej tego okresu. Specjalną uwagę zwróciła powieść „Jiyū-Gakkō" („Szkoła wolności") pióra Shishi-Bunroku, zawierająca pisaną w lekkim tonie, ale przenikliwą charakterystykę Japonii powojennej z położeniem nacisku na nową pozycję kobiet.

W okresie ostatnim od r. 1953 do końca 1954, a więc po podpisaniu traktatu pokojowego ze Stanami Zjednoczonymi, które otworzyło nową erę w dziejach Japonii, pisarze japońscy poczęli dyskutować, co powinno stanowić treść nowej literatury narodowej. Jedna z grup, której głównym przedstawicielem jest krytyk Kumabara-Takeo, występuje na rzecz fuzji między literaturą „czystą" a literaturą „popularną", reprezentowaną przez niezmiernie długie powieści historyczne, ukazujące się odcinkami w gazetach i magazynach. Inna grupa krytykowała nowoczesną literaturę japońską jako pozbawioną wielkości i domagała się nowego ducha epickiego. Trzecia grupa, która przybrała nazwę „minshushugi-bungaku" („literatury demokratycznej") poszła po linii lewicowej, głosząc opozycję wobec polityki zagranicznej rządu i ponownemu uzbrojeniu Japonii — wszystko to z akcentami anty-amerykańskimi. Jeden z czołowych pisarzy tej grupy, Noma-Hiroshi, wydał w lutym 1952 r. powieść „Shinkū-chitai" („Pusta strefa"), stanowiącą ostry atak na życie w wojsku i warunki w jednym z więzień wojskowych.

Jedna z trudności charakteryzowania literatury japońskiej, gdzie modne chwilowo grupy wkrótce schodzą z widowni na rzecz innych grup, polega na tym, jak traktować żyjących jeszcze i piszących pisarzy grup, które już wyszły z mody. A są wśród nich pisarze, których przynależność do jakiejś grupy niekiedy sięga pięćdziesięciu lat wstecz. Pisarze tacy starają się wykształcić sobie styl indywidualny, ale równocześnie być w zgodzie z gustem czasu. Niektórzy z nich stworzyli dzieła trwałej wartości. Na wymienienie zasługują: Hino-Ashihei, który w powieści „Tankō" („Kopalnia węgla", 1953) z wielkim darem spostrzegawczym opisał warunki życia w swym rodzinnym Kyushu, dalej Satomi-Ton (urodz. w r. 1888), oraz Funahashi Seiichi (urodz. w r. 1904). Inny pisarz Niwa-Fumio (urodz. w r. 1904) jest autorem powieści „Aomugi" („Niedojrzałe zboże"), w której opisuje napięte stosunki, panujące wśród członków jednej z sekt buddyjskich. Utwór ten uznany został za najlepszą powieść roku 1954.

*

Jakie są, ogólnie biorąc, cechy i tendencje współczesnej powieści japońskiej? — pyta w zakończeniu autor artykułu w „Times Literary Supplement" — Celem, do którego zmierza każdy pisarz, jest albo wypowiedzieć swe poglądy na sprawy polityczne i społeczne, albo też dać obiektywną charakterystykę ludzi na takim czy innym tle dzisiejszego świata, z tym, że zarówno charakter jak psychologia coraz silniej obrazowane są przy pomocy dialogów. Istnieje dziś tendencja do niewdawania się w nadmierne wyjaśnianie pobudek i emocyj, które dawniej było powszechne — przy czym dąży się do posługiwania się materiałem, czerpanym raczej z obserwacji innych ludzi niż siebie samego, w przeciwieństwie do powieściopisarzy dawniejszych. Realizm był przez pewien czas bardzo ceniony przez pisarzy, ale zbyt wielkie jego poszanowanie doprowadzało do tego, że powieść stała się jedynie kroniką rzeczy zaobserwowanych; obecnie powieści konstruowane są bardziej artystycznie.

Inną tendencją, jaka pojawiła się w ciągu ostatnich dwóch lat, jest dążność do wydawania długich powieści od razu w postaci książkowej. Do tej pory było zwyczajem ogłaszanie niemal wszystkich oryginalnych powieści (ale nie tłumaczeń, które normalnie pojawiały się od razu w formie książek) w miesięcznikach literackich, albo w całości, jeśli były dostatecznie krótkie, albo odcinkami. Długie „poważne" powieści zwykle ukazują się w pięciu lub siedmiu odcinkach. Powieści „popularne" pojawiają się również odcinkami, ale w dziennikach i tygodnikach, i zależnie od swego powodzenia wśród czytelników są dłuższe lub krótsze.

Wypożyczalnie publiczne, posiadające powieści, są w w Japonii bardzo nieliczne i stąd magazyny literackie stanowią cenny łącznik między autorami a publicznością.

Niewiele da się powiedzieć o poezji, która na ogół obraca się nadal w formach tradycyjnych. Ukazują się antologie poematów, utrzymanych w „nowym" stylu, ale jak dotąd nie przyniosły one żadnych rzeczy naprawdę wybitnych. W dziedzinie dramatu ścierają się prądy tradycyjne z „nowymi", to jest pozostającymi pod wpływem Zachodu. Dramaturgowie, chcący wprowadzić ów „nowy" typ utworów scenicznych, natrafiają na zasadniczą przeszkodę w postaci braku słuchaczy i braku wydawców. W dodatku zbyt silna jest — jeśli chodzi o taki właśnie dramat — konkurencja teatru tradycyjnego i kinematografów.

Autor streszczonego powyżej, interesującego zresztą, artykułu pisze o przywiązaniu Japończyków do ich dawnych tradycji pisarskich i teatralnych z wyraźnym ubolewaniem. Czy jednak słusznie? Czy kultura japońska naprawdę zyska na tym, jeśli ulegnie daleko idącej „westernizacji"?

(bp)

ZOFIA KOSSAK

DLACZEGO ŁOPATA, NIE PIÓRO

Z poprzednich numerów ŻYCIA znana jest Czytelnikom sprawa polemiki pomiędzy J. Bielatowiczem a Z. Kossak. Polemika ta została wyzyskana w sposób niewłaściwy przez radio reżymowe i prasę w Kraju przede wszystkim w artykule J. Szeląga „Pióro i łopata" (drukowaliśmy ten artykuł z audycji radiowej w nr. 35, dnia 28. 8. 55, naszego pisma). Pani Kossak dała odpowiedź na ten artykuł w audycji radia Wolnej Europy, a następnie przesłała tekst do redakcji pism jako list otwarty. Tekst ten drukujemy poniżej, zaznaczając, że nie ze wszystkimi poglądami autorki się zgadzamy.

Red.

Dnia 9 sierpnia br. „Życie Warszawy" zamieściło artykuł pod tytułem „Pióro i łopata". Za temat służyły: felieton J. Dobraczyńskiego o emigracji zamieszczony w krakowskim „Tygodniku Powszechnym", odpowiedź J. Bielatowicza ogłoszona w emigracyjnym tygodniku ŻYCIE i „Sprostowanie" tyczące powyższej odpowiedzi, przesłane przeze mnie do ŻYCIA. Końcowe słowa artykułu brzmią:

„...Pytamy Zofię Kosak, kto u was z odwagą prawdziwie narodowego pisarza, powie Polakom, gdzie jest ich ojczyzna? Kto im wreszcie przypomni, że mają ojczyznę?..."

Pojęcie ojczyzny, obowiązków względem niej, należytego stosunku do problemów związanych z tym wielkim słowem, zajmowało znaczne miejsce w mojej działalności. Tak znaczne, że niejednokrotnie podporządkowywałam im swoje życie prywatne. Dlatego dziś nie uważam za możliwe pozostawienie powyższego zapytania bez odpowiedzi.

Ustalmy jednak rzeczy na właściwym miejscu. Autor artykułu objaśnia słuchaczy: „Zofia Kosak po zakończeniu wojny opuściła kraj i zamieszkała w Anglii".

Ta informacja jest mylna, gdyż, nie opuściłam kraju. Nie rzuciły mnie na obczyznę ani wypadki wojenne, ani chęć zapewnienia sobie bezpieczeństwa, ani nadzieja skuteczniejszej walki o niepodległość poza granicami Polski. Nie uciekłam potajemnie, urażona widokiem rzeczywistości innej niż oczekiwana. Wyjechałam z Warszawy otwarcie, wierząc, iż niebawem powrócę. Nie ponoszę winy za to, że moja nieobecność zamierzona na krótko, zmieniła się w wieloletnią, może dożywotnią. Drzwi zostawiłam za sobą otwarte. Zatrzaśnięto je przede mną. Sądzę, że słuchacze nie wezmą mi za złe, jeśli poświęcę nieco czasu tej sprawie.

Przybyłam do Wielkiej Brytanii jesienią 1945 roku obarczona przyjętą dobrowolnie misją uzyskania pomocy dla Polski, zwanej już wtedy na Zachodzie „Polską czerwoną", a będącą wówczas przede wszystkim Polską skrwawioną i głodną. Z misji tej usiłowałam się wywiązać według mej najlepszej woli, możliwości i sił. Mimo dużych trudności spowodowanych z jednej strony politycznymi pociągnięciami władz krajowych, z drugiej niechęcią niektórych czynników emigracyjnych, — akcja ta była, — o ile mi się zdaje — dość owocna.

Przerwała ją sprawa dra Deringa, lekarza oświęcimskiego obozu, oskarżonego po wojnie przez władze Polski Ludowej o zbrodniczą współpracę z Niemcami. W związku z tym zasięgano opinii b. więźniów oświęcimskich. Moje zeznania wypadły korzystnie dla oskarżonego i ambasada polska w Londynie usiłowała nakłonić mnie do ich zmiany.

Nie mogłam zadośćuczynić żądaniu wkraczającemu w sprawy sumienia, a skutki odmowy nie dały na siebie czekać. Wprędce dowiedziałam się, że ogłoszono mnie w kraju za „cywilnie umarłą", a moje książki zostały wycofane z obiegu. Tym samym zamknięto mi drogę powrotu. Zaznaczam, że innego powodu banicji nie było. Tylko ten, że w sprawie sądowej okazałam się być świadkiem obrony, a nie oskarżenia.

I tak, nie będąc emigrantką, znalazłam się na wygnaniu. Nigdy nie przestanę nad tym ubolewać, gdyż zawsze pragnęłam dzielić dolę Narodu, do którego przynależę, partycypując w jego cierpieniach, radościach i pracy.

Autor wymienionego na początku artykułu zwraca się do mnie przekonywująco. Trudno mi jednak udzielić kredytu słowom będącym w sprzeczności z faktami. Książki moje należą nadal w Polsce do książek niedozwolonych. Wprawdzie nie przywiązuję do nich przesadnej wagi i nie dlatego upominam się o swoje prace, bym sądziła, że ich brak jest dużą stratą dla czytelnika. Bynajmniej. Po prostu, trudno mi uwierzyć, by pożądaną była obecność pisarza, którego książki są niepożądane. Bywają autorzy umiejący wyodrębnić siebie od swoich dzieł, względnie, zmieniwszy poglądy wyrzekają się dotychczasowej twórczości, by zacząć pracę od nowa, na odmiennych założeniach. Ja tego nie potrafię. Moje książki i ja — to jedno. Cokolwiek kiedy pisałam, udolnie czy nieudolnie, było wyrazem mego przekonania i nie mogłabym cofnąć żadnej z dawnych wypowiedzi. Sens życia i cel życia — hierarchia uczuć i obowiązków względem Boga i człowieka, utrwalone są we mnie dozgonnie. Może pisałabym dzisiaj literacko lepiej niż przed trzydziestu laty — może gorzej — w każdym jednak razie pisałabym **to samo.**

...„kto wreszcie przypomni emigrantom, że mają ojczyznę?", zapytuje autor artykułu „Pióro i łopata". Czyżby rzeczywiście sądził, że o tym przypominać trzeba? Wprawdzie lata rozłąki oddaliły społeczeństwo w kraju od uchodźców (i odwrotnie) powodując obustronny wał niezrozumienia, pochopnych sądów, uogólnień, a nawet obcości. Sztuczny ten wał łatwo byłoby obalić. Za szczęśliwą wróżbę poczytuję zwrot pozwalający na wymianę zdań w tej sprawie.

Zaznaczyłam na początku, że nie uważam się za emigrantkę. Dodam jeszcze, że żyję na uboczu nie biorąc udziału w tutejszym polskim życiu społecznym, lub politycznym. To mi pozwala na sąd obiektywny.

Jakie jest oblicze powrześniowej emigracji?

Według brukowej prasy krajowej, to tłum ciemnych aferzystów nabijających kabzy dolarami. Jan Dobraczyński w artykule stanowiącym punkt wyjścia niniejszej dyskusji, przedstawia emigrantów jako niedołężnych tchórzów, co to i chciałbym wrócić i boję się.

Nie zamierzam polemizować z Dobraczyńskim, gdyż jego wrażenia pochodzą z terenu Francji, gdy ja mogę mówić tylko o emigracji w W. Brytanii. To liczne skupisko polskie wydaje się być zresztą najbardziej typowe.

Lata ubiegłe przeprowadziły w jego szeregach selekcję. Rzutniejsi popasawszy krótko na wyspie, poszli za morza szukać łatwiejszego chleba. Z pozostałych, starzy i starsi, należący często do przedwojennej elity intelektualnej lub artystycznej, pracują w większości fizycznie. Przeważna ilość posiada rodziny w kraju i od kilkunastu lat żyje myślą o nich. Pracuje po nocnych (lepiej płatnych) zmianach fabrycznych, odejmuje sobie od ust (dosłownie) i śle paczki, paczki, paczki. Ich ofiarność jest tak wielka, że nieraz stwarza u obdarowywanych fałszywy obraz zamożności wysyłającego. Po tej starszyźnie wymienić należy średnie pokolenie przeważnie przybyłe z A. K. Ci pokończyli uniwersytety angielskie albo szkoły zawodowe i dziś pracują w obranym fachu. Dalej jest młodzież kilkunastoletnia, co kraj zna już tylko z opowiadań, młodzież wspaniała, po polsku zdolna i lotna, po angielsku solidna i rozsądna. Nareszcie wzruszający a bardzo liczny narybek dziecinny, dwujęzyczny, porający się zwycięsko z przynależnością do dwu kultur. Myślę, że w kraju z radością posłyszą, iż wymieniona społeczność emigracyjna, od najstarszych do najmłodszych, cieszy się u Brytyjczyków doskonałą opinią. Przyjęta niegdyś niechętnie, własną zasługą wyrobiła sobie uznanie. Polska młodzież zgarnia w szkołach nagrody i najlepsze stopnie, co lojalnie stwierdzają brytyjscy pedagodzy.

Pośród tych rzesz uchodźczych nie było chyba nikogo, co by zamierzał pozostać na obczyźnie na stałe. Żołnierze ,cywile, byli jeńcy, deportowani, żywili jedną myśl i jeden cel: **powrót.** Powrót — czarodziejskie słowo co by w okamgnieniu pojednało zwaśnionych, wróciło zdrowie chorym, sprężystość starym. Powrót! Czekając na powrót jedni szukali „najkrótszych dróg". Inni łudzili się, że walna bitwa o Polskę rozegra się na Zachodzie i oni wezmą w niej udział. Jeszcze inni umierali z tęsknoty, jak znakomita poetka, Maria z Kossaków Pawlikowska.

Ta tęsknota nie osłabła przez lata. Ojczyzna ma to do siebie, że im oddalenie dłuższe, tym ona bliższa i droższa. Póki człowiek czuje się młodym, sądzi, że zdąży powrócić. W miarę jak upływa czas, pragnienie złożenia kości w ojczystej ziemi staje się bardziej naglące. — Czemuż zatem nie wrócił? Czemu nie wracają teraz, gdy nagle, po dziesięciu latach, jak gdyby ocknąwszy się z obojętności nadchodzą z kraju głosy wzywające do powrotu?

Dotykam sedna sprawy.

Niewielu jest spośród starszej emigracji ludzi, co by nie zakosztowali gorzkiego chleba niewoli. Niewola niemiecka, albo niewola rosyjska. Kto zaznał niewoli, ponad wszystko z ziemskich rzeczy ceni **wolność.** Wolność, ten bezcenny dar Boży wyróżniający człowieka spośród reszty stworzenia. Bez wolności nie ma życia. Ojczyznę **wolną** racz nam wrócić, Panie! — modli się pieśń narodowa. Umiłowanie wolności wrosło w duszę polską. Generał Tyszkiewicz umierając przed stu laty w Paryżu na emigracji, zlecił w testamencie rodzinie, by prochy jego przewiozła do kraju, nie wcześniej jednak „aż Polska wolną się obaczy". Bardziej może niż inne narody „Polak wolnością żyje, do wolności wzdycha".

Bytująca na wyspie brytyjskiej emigracja polska nie dostrzega jeszcze wolności w ojczyźnie. Dostrzega żelazną kurtynę, złowrogie słowo jednoznaczne z kratą — (po co ta krata? Przeciw komu?!) i słucha ze zgrozą o uwięzieniu Prymasa oraz biskupów.

Milczenie, jakie krajowa prasa, nie tylko komunistyczna, zachowuje wokół tego aktu wrogości wymierzonej w Kościół, aktu sprzecznego z polską tradycją, dziejami, charakterem — dorzuca goryczy i zwiększa nieufność. Nikt nie wierzy, by cały naród katolicki przeszedł do porządku dziennego nad gwałtem zadanym najczcigodniejszemu człowiekowi w Polsce. Jeżeli wszyscy milczą — znaczy, że pisać na ten temat nie mogą. Czyż to jest wolność?

Przewiduję iż w odpowiedzi, (jeśli odpowiedź otrzymam), „Życie Warszawy" powtórzy znane slogany o postępie i rozwoju, o uprzemysłowieniu, o planie sześcioletnim, o upowszechnieniu kultury... Tu wiedzą o nich. Myli się, kto by sądził, że emigracja nie chce słyszeć o pozytywnych osiągnięciach kraju. Są one ogromne, lecz w danej chwili spieramy się o co innego. O to, czy spragnieni powrotu wygnańcy mogą ominąć stojącą na drodze postać milczącego więźnia w purpurze, tym droższą każdemu Polakowi, że sponiewieraną?

„...jest coś przeraźliwie smutnego" — mówi wymieniony artykuł — „w tej zbyt łatwej rezygnacji pisarza ze swej wielkiej roli w narodzie, w tym zbyt łatwym przerzucaniu się od pióra do łopaty..."

A któż powiedział, że rezygnacja przyszła łatwo? Może każdy z tych, co dokonali wyboru — istotnie przeraźliwie smutnego — ważył długo w jednej dłoni tęsknotę, w drugiej pragnienie zachowania godności wolnego człowieka?

„...myśli i uczucia narodu żyją w kraju..." — czytamy dalej. Mogę zapewnić, że myśli i uczucia wygnańców żyją w kraju również. W świątyni, którą jest ziemia nad Wisłą.

Zofia Kossak

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 2 października 1955.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

BUDOWA WIELKICH STACJI ATOMOWYCH W W. BRYTANII

Anglicy nie na żarty zabrali się do prac nad wyzyskaniem energii atomowej, czy „nuklearnej", jak to coraz częściej jest nazywane. Ośrodek brytyjskich badań atomowych, jak wiadomo z prasy, znajduje się w Harwell. Dyrektor jego Sir John Cockcroft oświadczył świeżo, że w ciągu najbliższych pięciu lat na świecie zbudowanych zostanie co najmniej 10 wielkich stacji energii atomowej, stacji pięciu różnych typów.

W Wielkiej Brytanii — mówił Cockcroft — w ciągu tych pięciu lat wykończone zostaną prawdopodobnie cztery takie stacje, a w ciągu następnego pięciolecia dalszych dwanaście. „Do roku 1960 — stwierdził mówca — wiadomo już nam będzie dużo więcej o relatywnych korzyściach i kosztach tych stacji energii atomowej i wtedy będziemy mieli silną podstawę, na której możliwa będzie rozbudowa tego nowego przemysłu".

Na razie — zdaniem Cockcrofta — Wielka Brytania cierpi jeszcze na brak dostatecznej liczby wyszkolonych technicznie specjalistów: fachowych rzemieślników, kreślarzy, inżynierów i naukowców. Specjalnie paląca jest potrzeba twórczych planujących kreślarzy. Zdaniem mówcy, należy starać się o skierowanie większej liczby młodzieży uniwersyteckiej na studiowanie nauk ścisłych i technologii. W wielu wypadkach szkolenie techniczne da się połączyć z wykształceniem humanistycznym. Kwalifikacje humanisty mają dużą wartość dla dzisiejszego przemysłu i technologii, zwłaszcza w takich dużych zakładach badawczych jak zakłady w Harwell.

SUKCES NAUKOWY POLKI

Pani Anna Zajączkowska, z domu Szczepanowska, uzyskała ostatnio doktorat na uniwersytecie londyńskim na podstawie pracy z dziedziny psychologii.

P. Zajączkowska jest wnuczką Stanisława Szczepanowskiego, wybitnego działacza społecznego i pisarza, autora „Myśli o odrodzeniu narodowym", „Nędzy Galicji" i innych dzieł, których wpływ na kształtowanie się nowoczesnej myśli narodowej był ogromny. Wujem pani Anny Zajączkowskiej był najwybitniejszy bodaj fizyk polski prof. Marian Smoluchowski, a wśród bliskich jej krewnych znajduje się prof. Stefan Szuman, znakomity psycholog, etnograf i badacz sztuki. Dobre więc dziedzictwo przypadło w udziale p. Zajączkowskiej w jej pracy naukowej.

Studiowała ona już przed wojną psychologię, początkowo w Warszawie (pod kierunkiem prof. Witwickiego), później w Poznaniu (u prof. Błachowskiego), gdzie otrzymała dyplom magisterski. W czasie wojny, na emigracji w Anglii, pracowała w naszym Ministerstwie Informacji, wygłaszała odczyty o Polsce i napisała szereg broszur informacyjnych w języku angielskim. Po wojnie zmuszona została przez okoliczności do ciężkiej pracy zarobkowej, jak zresztą tyle innych kobiet polskich; stworzyła warsztat sztucznych kwiatów i z jego dochodów się utrzymywała.

Trzy lata temu postanowiła kontynuować swoje badania w dziedzinie psychologii; zapisała się na uniwersytet londyński i w wyniku usilnej pracy — szczególnego trudu wymagało m. in. opanowanie wyższej matematyki — uzyskała stopień doktorski. Tytuł tezy doktorskiej brzmi: „An Experimental Study of Luneburg's Theory of Visual Perception". Teza ta jest ujęta głęboko i samodzielnie i przez swą oryginalność zwróciła szczególną uwagę prof. Russella, przy którym p. Zajączkowska pracowała nad swym doktoratem. Polecił on p. Zajączkowskiej wygłoszenie referatu o wynikach jej badań na zjeździe psychologów uniwersyteckich (z uniwersytetów w Oksfordzie, Cambridge, Reading i Londynie) w marcu rb. Referat spotkał się z wielkim, ogólnym uznaniem.

Dr Zajączkowska zamierza nadal prowadzić swą badawczą pracę naukową.

(bp)

KSIĄŻKA ZASŁUGUJĄCA NA UWAGĘ

W ŻYCIU zamieściliśmy świeżo streszczenie artykułu Herberta Lüthy'ego o intelektualistach francuskich, który ukazał się w miesięczniku „Encounter". Obecnie nakładem firmy Secker and Warburg ukazała się angielska wersja książki Lüthy'ego, której tytuł w przekładzie brzmi: „The State of France: a Study of Contemporary France" (cena 35 szyl.)

Oryginał książki wyszedł w języku niemieckim, gdyż Lüthy jest Szwajcarem, którego językiem rodzinnym jest niemiecki. Jego artykuł w „Encounter" omawiał tylko jeden aspekt zagadnień francuskich — aspekt zresztą pod wielu względami naczelny; książka stara się dać obraz wszystkich dziedzin życia Francji z myślą o pewnej syntezie. Mimo poważnych braków i jednostronności, książka godna jest uwagi.

Recenzent tygodnika „The Listener" przypomina, że pięćdziesiąt lat temu szwajcarski również pisarz dr Paul Seippel ogłosił książkę o „dwóch Francjach": „czerwonej" Francji jakobinizmu i „czarnej" Francji kontrrewolucji i tradycji. Lüthy pisze również o „dwóch Francjach", ale zagadnienie ujmuje pod wielu względami inaczej.

W „Observerze" Harold Nicolson ogłosił recenzję, bardzo ujemnie oceniającą książkę Lüthy'ego. Ma ona jednak wśród recenzentów i wielu zwolenników; posiada niewątpliwie tę zaletę, że pobudza do myślenia, choć różne jej twierdzenia wywołują sprzeciwy.

POGADANKI JĘZYKOWE

WYRAZY — PROBLEMY

Językowi nie zawsze jest łatwo nadążać za życiem, które stawia mu coraz to nowe wymagania. Wynalazki wprowadzają nieznane dawniej przedmioty i pojęcia, które trzeba jakoś określić, całe grupy ludzkie stykają się wskutek przewrotów wojennych i powojennych ze społeczeństwami dawniej najzupełniej sobie obcymi i muszą wyrażać w swoich mowach ojczystych rzeczy, z którymi zaznajomili się w nowym otoczeniu, — słowem wyrastają bez przerwy zagadnienia językowe, które wymagają rozwiązania. Można iść po linii najmniejszego oporu (tak się niestety często robi) i po prostu „wmontowywać" mechanicznie obcy wyraz we własną mowę.

Zagadnienie to jest oczywiście szczególnie ostre dla nas na emigracji. Ale występowało i dawniej. W pierwszych latach niepodległości pewna krakowska wytwórnia bibułek papierosowych rozpisała konkurs na zastąpienie niemieckich „tutek" i „gilz" wyrazami polskimi. Nie pamiętam, jaki był wynik. Potem jeden z popularnych dzienników warszawskich ogłosił podobny konkurs na wynalezienie odpowiednika ohydnego „szlagiera". Zwyciężył „przebój" i utrzymał się. (Nota bene, ponieważ to było po przewrocie majowym, jakiś gorliwiec zaproponował: „marszał"...).

W ogóle z wpływem niemczyzny były zawsze kłopoty. I to nie tylko u nas. Francuzi, mimo że mają w swojej części Alp mnóstwo szarotek, nie zdobyli się na rodzimą nazwę tej rośliny, lecz nazwali ją „edelweiss". (Pewien Polak zasugerował: „grisette"...). Kapuście zaś nadali miano: „choucroûte" (z niem.: „Sauerkraut") i wydaje im się, że to wyraz rdzennie francuski.

My mamy kłopot z naszym popularnym „bruderszaftem". Zastąpić brzydką nazwę tego miłego obrzędu: „braterstwem" byłoby dziwaczne. A znaleźć polski odpowiednik nie łatwo. Konia z rzędem można również dać temu, kto spolszczy słynną niemiecką: „Gemütlichkeit".

A cóż dopiero mówić o mnogości zagadnień, jakie stwarza dla nas na emigracji na każdym kroku angielszczyzna. Oto np. ostatnio do redakcji jednego z czasopism polskich wpłynął list z zapytaniem, jak oddać angielski wyraz „caravan", oznaczający domek czy barak mieszkalny ciągniony przez samochód. Bo to przecież ani „karawan" ani „karawana".

Owoc zwany po angielsku: „grapefruit" nie ma wprawdzie nic wspólnego z orzechem, ale jego nazwa stanowi dla Polaka twardy orzech do zgryzienia. Jest nie tylko angielska, ale ortograficznie dla nas nader niewygodna. Jak ją pisać: „grape-fruit" czy fonetycznie: „grejpfrut"? A może — jak ktoś dowcipnie zaproponował — ponieważ owoc ten jest wytworem skrzyżowania pomarańczy z cytryną, nazwać go „cytrańczą"? Wątpię jednak, by się to przyjęło. Kłopot jest również z innym dobrze znanym w Anglii owocem z rodziny cytrusowej — „lime" (mniejszym od cytryny i o odrębnym smaku), który nie wiadomo jak określić po polsku.

Oczywiście nie zawsze jest tak źle i zwykle naleciałość angielska da się bez większego trudu uniknąć. Nie mówię już „basach", „lanczach" i „szopingach", które wdarły się do żargonu emigracyjnego wskutek niedbalstwa wielu z nas. Ale nawet pokój, będący angielską specjalnością i zwany „breakfast-room", może być spolszczony jako „śniadalnia". Taki nowotwór jest w pełni uzasadniony, zgodny z polskim słowotwórstwem i oddaje dobrze treść angielskiego pierwowzoru.

Każdy język ma swoje bogactwa. Odzwierciedlając pewne znamienne cechy charakteru narodowego, posiada on wyrazy, które określają te cechy (lub ich antytezy) ze szczególną celnością. Znaleźć dla takich słów odpowiedniki w innych językach jest czasem trudem iście syzyfowym. Zwykle kończy się na żmudnym zastępowaniu ich wielowyrazowymi określeniami. Odznaczają się np. Anglicy szczęśliwą zdolnością do wyciągania z wielu czynności czy stanów, zajęć czy zabaw, wysiłków czy „dolce far niente" — pełni zadowolenia, przyjemności, radości i wszelkiego rodzaju euforii. To się nazywa: „to enjoy". Gdy Anglik mówi, że „he enjoyed his dinner", chce przez to wyrazić, iż obiad mu nie tylko smakował, ale stanowił dlań błogie i radosne przeżycie. To jest o wiele więcej, niż francuskie: „il a bien mangé". Nie podejmuję się oddać „endżojowania" jednym wyrazem polskim — podobnie jak rzeczownika: „fun" o bardzo rozległej treści pojęciowej.

Albo przymiotnik: „sophisticated". Jeżeli odnosi się do osób, można to przetłumaczyć: „przerafinowany". Ale — jak mi ktoś słusznie zwrócił uwagę — kapelusz może być także „sophisticated". „Niezwykły"? „Wymyślny"? To jednak nie całkiem to samo.

Inny przykład: „high brow". Tak od pozerskiego i trochę kabotyńskiego podnoszenia brwi nazywają Anglicy pretensjonalnego intelektualistę, z lekka zmanierowanego znawcę literatury i sztuk, czy innego pięknoducha, który wynosi się ze swym wtajemniczeniem ponad tłum profanów. Trudno by tu było znaleźć równie zwięzły odpowiednik polski.

Wreszcie mają Anglicy, szczególnie wrażliwi na różne urazy i kompleksy, specyficzne określenie na pewną ułomność psychiczną, którą zwalczają już u dzieci i młodzieży. Jest to tzw. „self-consciousness". Słownik Trzaski-Everta-Michalskiego tłumaczy ten wyraz błędnie jako „świadomość", a według Stanisławskiego przymiotnik „self-conscious" oznacza: „świadomy siebie, zakłopotany". W rzeczywistości chodzi tu o zażenowanie, wynikające z odczuwania własnych słabych stron fizycznych czy duchowych (istotnych lub urojonych), z przekonania, że wszyscy te braki widzą — i o powstały stąd kompleks niższości wraz z dokuczliwym brakiem pewności siebie wobec innych. Nie sądzę, by można ten skomplikowany stan psychiczny oddać jednym polskim wyrazem.

To wszystko nie znaczy oczywiście, że język polski jest uboższy od angielskiego. Na pewno są w polszczyźnie wyrazy, które nie znajdują odpowiedników w tym czy innym języku obcym. Dałem przykłady angielskie, bo nam, żyjącym w Anglii cudzoziemcom, rzucają się one najbardziej w oczy.

P.S. — Do mojej ostatniej pogadanki językowej („Imiona" — ŻYCIE nr 426) wkradł się, i to dwukrotnie, brzydki błąd. Objaśniając pochodzenie imienia „Bartłomiej", napisałem, że oznacza ono: „syn Ptolemeusza". Tymczasem chochlik drukarski z „Ptolemeusza" zrobił — „Ptolomeusza", co na próżno poprawiłem w korekcie. Forma „Ptolomeusz", jakkolwiek czasem używana, jest najzupełniej błędna: grecka postać tego imienia jest: „Ptolemaios" (od „ptolemos"), stąd mówimy np. o systemie ptolemejskim.

WIG

LISTY DO REDAKCJI

POLEMIKA Z POLONUSEM: WYKSZTAŁCENIE A SNOBIZM*)

Próbuję uporządkować przedziwnie rozproszone wywody Polonusa, tym razem na temat wykształcenia i zobaczymy czy mi się to uda.

Polonus pisze, że „w Polsce wykształcenie było miarą stanowiska społecznego i że człowiek z wykształceniem uniwersyteckim czy tylko po maturze to był „pan", natomiast w Anglii i Ameryce normalnie studia uniwersyteckie i średnie są tylko drogą do zdobycia źródła zarobkowania, stanowią „training" dającego dobre zarobki rzemiosła".

Takie postawienie sprawy, bez wyjaśnienia przyczyn tego zjawiska jest jakimś łamańcem myślowym wywołującym zamęt w umysłowości młodzieży polskiej na emigracji.

Trzeba tej młodzieży powiedzieć, że przecie nie ma w zasadzie różnicy między dyplomem wydanym absolwentowi Uniwersytetu w Oksfordzie, Krakowie czy Poznaniu. Na całym świecie przeciętni ludzie kształcą się przede wszystkim chyba po to, aby zdobyć lepsze źródło zarobkowania i gdy jeden poprzestaje na zdobyciu dyplomu, stając się n.p. lekarzem-rzemieślnikiem w mieście czy na wsi, drugi kontynuuje studia i badania, zdobywając pozycję lekarza-uczonego. Tak było w Polsce i tak jest wszędzie.

Polonus zapewne chciał powiedzieć — tak sądzę — że w Polsce (a także i w Niemczech), głównie dzięki korporacjom (nie istniejącym w tej formie ani w Anglii ani w Ameryce) wielu ludzi po Uniwersytecie, a nawet po egzaminie maturalnym stało się SNOBAMI, udając — jak słusznie Polonus zaznacza — że zdobyli pewnego rodzaju szlachectwo.

Nieliczne w Europie kraje, w tym Polska i Niemcy, tkwiły jeszcze głęboko w średniowiecznym, tradycyjnym snobiźmie uniwersyteckim, gdy Francja, Anglia, Ameryka dawno się z niego wyzwoliły.

Oto cała treść i tajemnica różniąca „panów" polskich i „rzemieślników" angielsko-amerykańskich.

I jeszcze coś: Zmodernizowane słowo „S.nob." (snob) jest skrótem „sine nobilitatis" (bez szlachectwa) stawianym w spisach Uniwersytetów Europejskich za nazwiskiem ucznia (żaka) nie należącego do stanu szlacheckiego. Uczniowie ci jednak naśladowali przede wszystkim w ubiorze swoich kolegów szlachciców, a więc udawali coś względnie kogoś czym, względnie kim nie byli. Korporacje, ustalające później jednolity strój dla wszystkich swoich członków miały prawdopodobnie na celu złagodzenie różnic klasowych, a bujnie krzewiące się zwłaszcza w Niemczech „mensury" (dwa lata temu znów tam odżyły) zrównanie klasowe wszystkich studentów znamionem cięć na twarzy, pochodzących od obowiązkowych pojedynków na rapiery (szable).

Snob i snobizm utrzymały się w zmienionej formie do najnowszych czasów i dotychczas pokutują jako te duchy średniowiecza wśród Polonusów starszego pokolenia, nie bardzo zrozumiałych przez „tępaków" i „rzemieślników" młodszego.

„W dawnych czasach Uniwersytet służył przede wszystkim wykształceniu" — pisze Polonus.

Może tak było, że „służył wykształceniu". Obecnie wolne Uniwersytety promieniują wiedzą i chyba „na Jowisza" też kształcą młodzież i to jaką...

To fakt, że formy wykształcenia się zmieniły, Uniwersytety się rozrosły, Uniwersytety pod naporem przemian społecznych się zdemokratyzowały, nauki nabrzmiały walącymi się na ludzkość, sięgającą po Mars i Księżyc, zagadnieniami wymagającymi rozbicia na specjalności, tworzą się nowe centra nauki — zakres pewnych nauk uniwersyteckich przenosi się nawet do szkół wojskowych i tak np. chłopak po szkole średniej, aby został pełnej klasy pilotem (jet-pilot) musi kształcić się intensywnie jeszcze dalszych 5 lat w różnych specjalnościach, czyli tyle lat ile n.p. medyk w przedwojennej Polsce musiał dokuwać się dyplomu.

„Nie sądźmy zresztą, że świat się bez ludzi wykształconych — naprawdę wykształconych — obchodzi. Odgrywają oni większą rolę, niż to się zdaje ogółowi" — pisze Polonus.

To wiekopomne odkrycie Polonusa przypomina mi z czasów chłopięcych wieczorne pogaduszki dziewczyn i parobków dworskich — czyli t.zw. filozofię chłopską — na ten sam temat. Zawsze dochodzili zgodnie do wniosku Polonusa, że świat, nawet ten murzyński rzeczywiście „nie mógłby się obyć" bez czarowników — a cywilizowany bez ludzi wykształconych.

Wszakże — trzeba młodzieży powiedzieć — że wykształcenie i to każde względnie dążność do wykształcenia, jest humanizmem samym w sobie, jest motorem wynoszącym gatunek zoologiczny na szczebel „homo sapiens", jest wyrazem duszy ludzkiej, jest jądrem życia duchowego, jest najszerszą ścieżką do Boga.

Gdy czytam Polonusa wywody, „że u podwalin nawet tak prymitywnego zjawiska jakim jest system sowiecki leży filozofia", dochodzę nareszcie do wniosku, że Polonus najwidoczniej chce powiedzieć młodzieży na emigracji, aby specjalizując się w takiej lub innej dziedzinie nauk, pogłębiała i wygładzała obok tego swoją wiedzę ogólną czytając książki z zakresu „miłości mądrości", dociekające Prawdy życia w ramach religii, historii, wolnych rozważań filozoficznych i jej odprysków takich jak np. psychologia.

Oczywiście, że takie przypominanie jest na czasie, ale po co to wszystko zagmatwać jakimś kompleksem dziwactwa i niepotrzebnych analogii polsko-angielsko-amerykańskich trudno mi dociec.

Nie jestem zwolennikiem systemu sowieckiego, ale też nie jestem zwolennikiem nazywania go „zjawiskiem prymitywnym" w piśmie na poziomie ŻYCIA i jego czytelników.

Nie odbierajmy roli „Prop-agitu" pismom lepiej do tego powołanym.

Moim zdaniem system sowiecki nie tylko nie jest zjawiskiem prymitywnym, ale jest zjawiskiem pod każdym względem wysoce skomplikowanym, z którym świat leżący poza zasięgiem tego zjawiska z wielkim trudem tylko daje sobie radę.

System sowiecki opiera się duchowo i naukowo na ściśle określonej, nie nowej zresztą, filozofii materialistyczno - racjonalistycznej typu dogmatycznego (stąd jego statyczna ostrość i bezkompromisowość w realizowaniu swoich celów), spłodzonej, jak wiadomo, przez filozofów świata zachodniego na przełomie 18 wieku, przede wszystkim przez Niemca dra fil. Hegla, ojca dialektyki materializmu i jego uczniów dra fil. Karola Heinricha Marksa (1818-1883) oraz fil. Friedricha Engelsa, pochodzących bynajmniej nie z środowisk robotniczych, ale wybitnie burżuazyjnych. (Marks, syn adwokata, Engels, syn bogatego fabrykanta materiałów).

Stary, lecz świetnie funkcjonujący imperializm rosyjski a system sowiecki, względnie bolszewicko-socjalistyczny, na którym ten imperializm obecnie całkiem inteligentnie jedzie, to dwa zupełnie odrębne zagadnienia, które nasze Polonusy chcą usmażyć na jednej patelni, albo całkiem zlekceważyć machnięciem ręką. Dlatego nam, Polakom, jakżeż skłonnym tradycyjnie do lekceważenia innych, tak trudno dociec prostej „prawdy" czy „nieprawdy" rosyjskiej, od której bądź co bądź zależy na razie los Polski.

Problemów duchowych, czy jak kto chce filozoficznych albo „wieczystego prawa dialektyki historii" — jak mówi Hegel — nie da się zlikwidować gwałtem — nawet bombą atomową.

Na tym tle pragnę wyrazić moją radość z pocieszającego a oczekiwanego faktu, że nareszcie pisarze polscy w Kraju i na emigracji zaczynają się brać jawnie za bary — duchowe.

Janowi Bielatowiczowi gratuluję dostojnego umiaru w tej dyskusji i poziomu godnego katolickiego tygodnika religijno-kulturalnego.

Im mniej kamieni (żółciowych) będzie padało „na szaniec" tej dyskusji, tym lepiej dla przyszłości Polski.

„Niech ogół nareszcie się dowie, jaką rolę ludzie wykształceni odgrywają choćby w polskim świecie" i „że nie brak nam mędrców o pewnej głębi i pewnej szerokości widnokręgów" (słowa Polonusa) w Kraju i na emigracji.

Oddajmy więc głos mędrcom...

Z poważaniem

K. Bączkowski

*) ŻYCIE nr 35 z dnia 28.8.55. „Wykształcenie" — Polonus.

ROZMAITOŚCI

POLSKI WKŁAD DO GEOGRAFII KRAJÓW PÓŁNOCY

Została świeżo wydana praca zbiorowa pt. „Geography of the Northlands", opracowana pod kierownictwem George H. T. Kimble i Dorothy Good, wydrukowana w Nowym Jorku przez The American Geographical Society, John Wiley and Sons, 1955.

Jest to publikacja Amerykańskiego Towarzystwa Geograficznego (nr 32, 534 strony plus mapa). Wśród 15 autorów tej publikacji znajduje się również Polak, profesor geografii na Uniwersytecie Mc Gill dr Bogdan Zaborski.

Z 28 rozdziałów tej książki jest 6 opracowanych przez dra Zaborskiego. Są to rozdziały poświęcone Syberii oraz wyspom sąsiednim. Obszar ten podzielony na mniejsze jednostki geograficzne i omówiony pod względem ukształtowania, klimatu, gleby, flory i fauny oraz życia gospodarczego, posiada też bibliografię. W pracy tej m in. spotykamy notatkę o Polakach na Syberii, a w bibliografii cytowana jest praca M. Czaplickiej. Rozdziały napisane przez prof. Zaborskiego ilustrowane są zdjęciami fotograficznymi i mapkami.

MIĘDZYNARODOWY KONGRES GEOGRAFICZNY

W Rio de Janeiro w dniach 9 - 18 sierpnia 1956 r. odbędzie się XVIII Międzynarodowy Kongres Geograficzny. Sekretarzem komitetu wykonawczego kongresu jest prof. H. Sternberg.

NOWY SYSTEM OSZCZĘDNOŚCIOWY

W związku ze stałym spadkiem wartości pieniądza, Finlandia, by zachęcić do większego oszczędzania, wprowadziła nowy system wypłat oszczędności. A mianowicie każdy, kto posiada wkłady bankowe o wartości przekraczającej sumę 30 tysięcy marek fińskich, a nie podejmie tej sumy przynajmniej przez 12 miesięcy, otrzymuje prócz normalnego procentu, wyrównanie do tej wartości faktycznej, jaką miały pieniądze w dniu złożenia ich do kasy. Jak podaje „The Norseman" (vol. XIII No. 3 z 1955 r.), podobny system pragną wprowadzić inne państwa. Norwegia oprócz zwiększenia stopy procentowej z 2½ na 3½ wprowadza premie za oszczędzanie, które są rozlosowywane kilka razy do roku.

OPŁACALNOŚĆ BADAŃ NAUKOWYCH

Czy badania naukowe opłacają się, oto pytanie, które stawiają często ci, którzy widzą sumy wydatkowane a nie dostrzegają natychmiastowych wyników, które można by przełożyć na język cyfr.

Na przykładzie Australii możemy zaobserwować, że badania jednak opłacają się. Organizacja Badań Naukowych i Przemysłowych Wspólnoty na terenie Australii zapoczątkowana w r. 1926, posiadająca budżet roczny 5 milionów funtów, wykazuje na przykład, że wzrost produkcji wełny o wartości £32 miliony w roku budżetowym 1953-4, a także wzrost o 18 milionów produkcji pozostałych działów gospodarki rolnej i hodowlanej Australii w tym samym okresie, jest właśnie wynikiem wytępienia królików australijskich przy pomocy środka wynalezionego w laboratoriach tej organizacji.

PROBLEM BURZENIA I BUDOWY

Anglia rozwiązuje obecnie ważny problem oczyszczania swych miast z tzw. „slumsów", czyli burzenia całych dzielnic urągających zasadom współczesnego budownictwa. Dzielnice te, powstałe przeważnie w okresie rewolucji przemysłowej, są nie tylko w opłakanym stanie budowy, lecz znajdują się w fatalnych warunkach higienicznych.

W Manchester burzy się 700 domów rocznie. „The Housing Repairs and Rents Act" nakładający na miasta obowiązek burzenia „slumsów", przewiduje równoczesne zabudowanie tych dzielnic na nowo w okresie pięciu lat. Bardzo energicznie te sprawy prowadzi się w Leeds, gdzie z ogólnej liczby przeznaczonych do zburzenia 22.500 domów, zburzono już w roku ubiegłym 2.500 bundynków. Jednocześnie Leeds buduje 3.000 domów nowych co rok.

Problem nowych mieszkań dla mieszkańców domów zburzonych nie jest łatwy do rozwiązania. Budować trzeba więcej niż burzyć, bo w nowym budownictwie przewiduje się znacznie więcej przestrzeni dla każdego mieszkańca, a „slumsy" mają potworną gęstość zaludnienia. Najgęściej jest chyba w Salford koło Manchesteru, w londyńskich West Ham i East Ham oraz w niektórych częściach Glasgow, i tam Ministerstwo Budownictwa ma najcięższe zadania.

Przewiduje się rozproszenie ludności „slumsów" po różnych nowych dzielnicach, a w razie konieczności i po sąsiednich miastach.

Ż Y C I E Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London, W. 2. England. Telefony: Redakcja i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 15.30 do 16. Administracja czynna codziennie od godziny 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P R E N U M E R A T A płatna zgóry wynosi: miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szylingów. W P Ł A T Y a) **w krajach bloku szterlingowego:** Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym bezpośrednio do administracji ŻYCIA. C E N Y O G Ł O S Z E Ń: 1 cal przez 1 łam = £ 1.0.0, w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. P R Z E D S T A W I C I E L S T W A i C E N A P R E N U M E R A T Y W R Ó Ż N Y C H K R A J A C H: **ARGENTYNA: „Libreria Polaca"**, Serrano 2076 piso I, Buenos Aires. **AUSTRALIA: „Vistula"** (Aust) Pty. Ltd., 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**, 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S. A. **BELGIA:** Mme **E. Kułakowska**, 129, Rue du Cornet, Bruxelles 4. Prenumerata kwartalna: 90 frs. **BRAZYLIA: Mme Z. Kietlińska Casa** „Acao", Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. **Książnica Polska**, Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro, **ks. dr Antoni Łatka**, Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo i **Mons. W. J. Slapa**, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. **FRANCJA: ks** K. Stolarek, **OMI**, 29 Av. Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, S. et M.), CC 5 603 40. Pren. kwart.: 540 fr. **HOLANDIA: B. Galas**, Fagelstraat 15A, Breda. **KANADA: Canadian Mosaic Publishers**, Suite 1, 4118 Western Ave., Montreal 6. **International Book Service**, 57, Queen Str. W., Toronto **NIEMCY: St. Mikiciuk**, Gablonzerstrasse 7/I, (13b) München 45 o r a z **„Informacja Prasowa"**, Postfach 86, (23) Quakenbrück, Prenumerata kwart. 8 RM. **NORWEGIA: B. Łubiński**, Kongesgat 2, Moss. **STANY ZJEDNOCZONE: „Gryf Publication"**, 296 Sheridan Ave., Albany, N.Y., **Mme J. Stojanowska**, 424 Ave. „E", Bayonne, N.J. oraz **„Pomoc" — Eksport - Import**, 761 Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenum. kwart. $ 2.00. **SZWAJCARIA: Mgr. A Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2. Pren. kwart. 5.00 frs. **SZWECJA: Mgr. B. Kurowski**, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 10 kr. **WŁOCHY: Mme Z. Bułhak-Jelska**, via Salaria 300 C. Roma. W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2, Tel.: PAD 9734.